GÓRNICZY STAN, HEJ, NIECH ŻYJE NAM!

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr indeksu 38351

Kamena

NR 24 (844) 1 grudnia 1985 Cena 15 zł

Mniej przystojne śpiewki górników po piwku

str. 10

Ucieczka króla Rumunii

str. 4-5

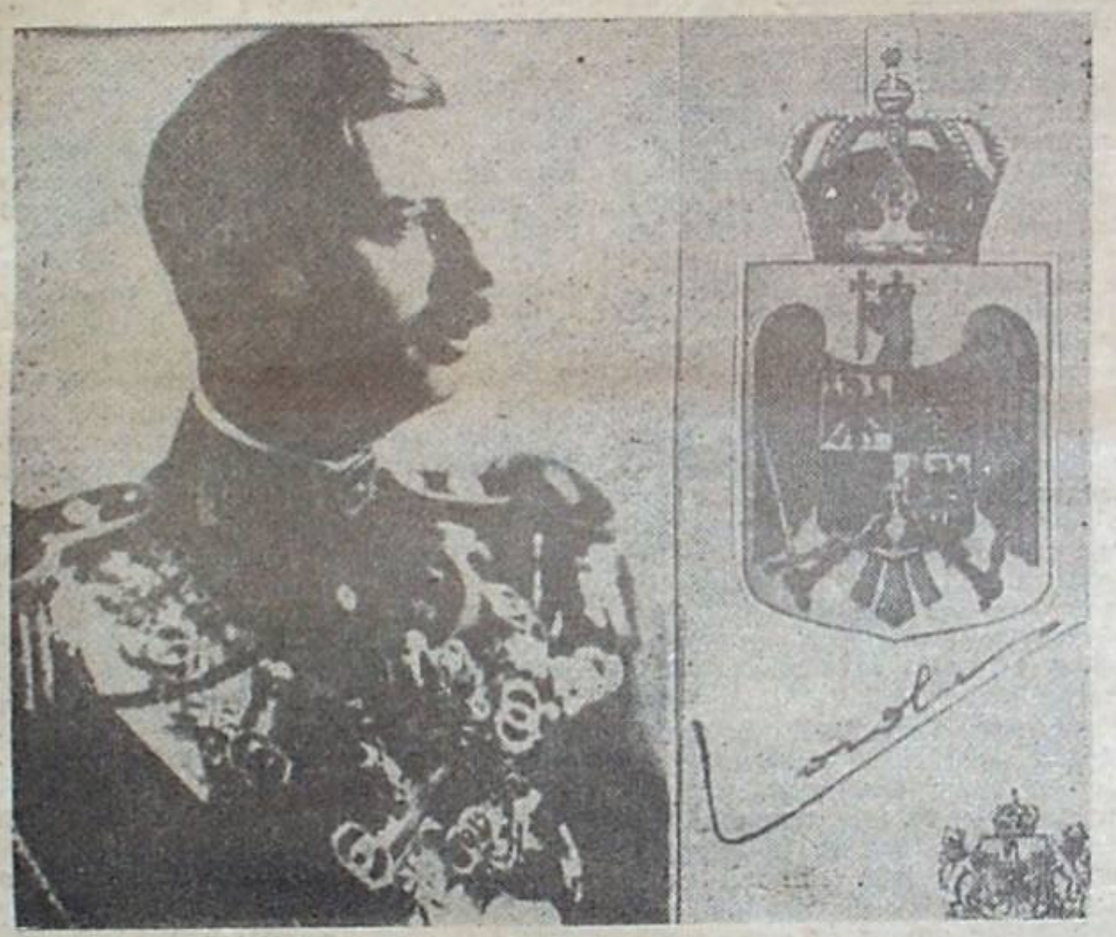

Z dansingu na festiwale

str. 11

str. 8

Dokąd płynie „Okrętem" Teatr im. Osterwy ?

str. 7

Ballada o Budionnym

str. 8

z notatnika

24 XI. Telewizja radziecka bezpośrednio transmitowała z Genewy konferencję prasową sekretarza generalnego KC KPZR, Michaila Gorbaczowa, zorganizowaną po zakończeniu rozmów z prezydentem USA, Ronaldem Reaganem. Kiedy w ubiegły czwartek około godziny czternastej miejscowego czasu przechodziłem przez korytarz na dziesiątym piętrze hotelu „Moskwa" w stolicy ZSRR, telewizory w wielu pokojach były otwarte na cały regulator. Włączyłem aparat akurat w tym momencie, gdy M. Gorbaczow odpowiadał na pytanie przedstawiciela radia BBC z Wielkiej Brytanii.

Załóżmy — mówił przywódca radziecki — *że Amerykanie nie przyjmą naszych argumentów, nie docenią naszej dobrej woli i wezwania do tego, by poszukiwać wyjścia na drodze wstrzymania wyścigu zbrojeń i redukcji istniejącej broni jądrowej, to jest będą kroczyć dotychczasową drogą. Oczywiście, znajdziemy odpowiedź. W swoim czasie radzieckie przywództwo dało odpowiednie zlecenia kompetentnym organizacjom i uczonym i możemy powiedzieć, że nasza odpowiedź będzie skuteczna, mniej kosztowna i, być może, zrealizowana w krótszym czasie...*

Cytuję teraz te słowa według tłumaczenia zamieszczonego w sobotniej „Trybunie Ludu", cytuję w dosłownym brzmieniu, bo właśnie po nich rozległy się spontaniczne oklaski: tak reagowali za ścianą nie znani mi sąsiedzi, goście hotelowi. Ta błyskawiczna reakcja znamiennie świadczy o nastrojach radzieckiego społeczeństwa.

Nie miałem już możliwości dalszego śledzenia tutejszej prasy i jej opinii na temat rozmów genewskich, gdyż wspomniany czwartek stanowił ostatni dzień mojego dziesięciodniowego pobytu w ZSRR, niemniej mogę stwierdzić, że zainteresowanie spotkaniem przywódców dwóch wielkich mocarstw było w Moskwie, i nie tylko w Moskwie, ogromne. Przed godziną dziewiątą wieczorem ludzie gromadzili się wokół telewizorów, z niecierpliwością oczekując na rozpoczęcie dziennika „Wremia". Wiadomości krajowe, zwykle eksponowane na pierwszych miejscach, w dniach rokowań genewskich zostawały zepchnięte na plan dalszy. Wskutek przyjęcia zasady poufności rozmów usiłowano coś wyczytać z twarzy Gorbaczowa i Reagana, ale uśmiechy mogą przecież mylić. Chyba najwięksi optymiści nie spodziewali się, że w Genewie dojdzie do jakiegoś globalnego porozumienia, bo stanowiska stron były dość odległe. Niemniej sam fakt, że obaj przywódcy mogli poznać się osobiście, bezpośrednio przedstawić swoje stanowiska i lepiej je uwypuklić zarówno w rozmowach oficjalnych jak i tych bardziej prywatnych — to i tak wiele, zwłaszcza, gdy długo żadnych kontaktów na najwyższym, podkreślam — najwyższym szczeblu, nie było.

Dyrektor moskiewskiego Instytutu USA i Kanady, Gieorgij Arbatow, mówił 14 listopada w Genewie, iż osiągnięcie jedynie „kosmetycznego" porozumienia podczas szczytu mogłoby stworzyć „niebezpieczne złudzenie". *Byłoby naiwnością oczekiwać* — kontynuował Arbatow — *że może dojść do zawarcia starannie opracowanych układów, które w szczegółach będą w stanie rozwiązać istniejące problemy. Sądzę jednak, że tym, co może być osiągnięte, co musi być osiągnięte, jest sprawienie, aby był to początek punktu zwrotnego w stosunkach między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi, między Wschodem i Zachodem.*

Gdy piszę te słowa, znamy już tekst wspólnego oświadczenia wydanego po rozmowach genewskich. Wymiana poglądów była szczera, konkretna, wszechstronna i pożyteczna. Przyniosła lepsze zrozumienie wzajemnych stanowisk. Obie strony — i to jest ważne — opowiedziały się za poprawą stosunków radziecko - amerykańskich, za uzdrowieniem sytuacji międzynarodowej, za dialogiem — szukaniem punktów stycznych w istniejących problemach. Postanowiono w najbliższej przyszłości odbyć ponowne spotkanie. A więc dialog na najwyższym szczeblu będzie nadal kontynuowany. W oświadczeniu zaakcentowano też wielkie znaczenie, jakie oba mocarstwa przywiązują do rokowań wiedeńskich w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej oraz do konferencji sztokholmskiej w sprawie budowy środków zaufania oraz bezpieczeństwa i rozbrojenia.

Oczywiście — mówił o tym na konferencji prasowej M. Gorbaczow — *byłoby o wiele lepiej, gdybyśmy w Genewie osiągnęli zgodność co do głównego węzłowego problemu — zaniechania wyścigu zbrojeń. Niestety, strona amerykańska okazała się, jak dotąd, nie przygotowana do wielkich decyzji. Sądzę jednak* — podkreślił przywódca radziecki — *że nie można było w ciągu tych dwóch dni rozwiązać tego procesu w całości. Wypracowaliśmy mechanizm. Równocześnie jednak spotkanie, które odbyło się, jest zbyt ważnym wydarzeniem, aby można je było oceniać w jakichś uproszczonych kategoriach. Pozwoliło ono zrozumieć lepiej charakter naszych rozbieżności, anulować, przynajmniej tak sądzę i mam nadzieję, niektóre z góry zakładane oceny wobec ZSRR i polityki jego kierownictwa, wyeliminować część nagromadzonych przesądów. Może to pomyślnie wpłynąć na dalszy proces rozwoju wydarzeń. Zaufania nie odbuduje się od razu. To proces niełatwy. Z uwagą podeszliśmy do zapewnień amerykańskiego prezydenta, że USA nie chcą wojny jądrowej. Pragniemy szczerze, aby te oświadczenia potwierdzone były czynem. Chciałoby się rozpatrywać spotkanie jako początek dialogu, którego celem jest osiągnięcie zmian na lepsze zarówno w stosunkach radziecko-amerykańskich, jak na świecie w ogóle. I w tym sensie chciałbym spotkanie, jako stwarzające możliwości dla posuwania się naprzód...*

Sekretarz generalny KC KPZR mówił spokojnie, odrywał się od przygotowanego tekstu, argumenty były logiczne, godne wielkiego męża stanu.

W ciągu ostatnich dziesięcioleci na świecie zaszły tak zasadnicze zmiany, które wymagają nowego podejścia, świeżego spojrzenia na wiele spraw w polityce zagranicznej. Obecną sytuację międzynarodową charakteryzuje bardzo ważna cecha, którą powinny uwzględniać obie strony, my i Stany Zjednoczone, w polityce zagranicznej. Oto co mam na myśli: w obecnych warunkach chodzi już nie tylko o konfrontację dwóch systemów społecznych, lecz również o wybór między przetrwaniem a wzajemną zagładą. Innymi słowy — sam obiektywny bieg procesu światowego postawił sprawy wojny i pokoju, sprawy przetrwania w centrum polityki światowej. Pragnę podkreślić, że specjalnie użyłem słowa „przetrwania" nie po to, aby dramatyzować sytuację i straszyć, lecz abyśmy wszyscy głęboko się wczuli i zrozumieli realia współczesnego świata.

Otwartość M. Gorbaczowa wywołała na Zachodzie duże wrażenie. Mówi się, a podkreślali to szczególnie dziennikarze brytyjscy, że przywódca radziecki całkowicie sprostał wieloletniemu doświadczeniu aktorskiemu Reagana, błyskawicznie odpowiadał na zadawane mu pytania, prezentując obraz przywódcy budzącego zaufanie. Jego małżonka, Raisa, która tak jak i małżonka Reagana, Nancy, przybyła do Genewy, również zaimponowała, ba przyćmiła nawet osobę Nancy Reagan. Liczne zdjęcia Raisy Gorbaczow ukazały się na łamach prasy zachodniej. Ta elegancka, przystojna Rosjanka budzi sympatię i życzliwość. Uwypukla się jej znajomość języka angielskiego, podkreśla się, że język ten, choć w mniejszym stopniu, zna również M. Gorbaczow, co ułatwiało mu bezpośrednie rozmowy z R. Reaganem, który w języku rosyjskim umie tylko wypowiedzieć kilka specjalnie wyuczonych wyrazów.

Rola środków masowego przekazu na Zachodzie jest ogromna. Dobrze rozumie to M. Gorbaczow, jak i całe obecne kierownictwo radzieckie. Za mistrzów tzw. *public relations* uważali się dotychczas Amerykanie, ale i w tej dziedzinie udało się im przynajmniej dorównać. Nie bez pewnego znaczenia jest też sam fakt różnicy wieku, przemawiający na korzyść Gorbaczowa i jego małżonki.

Tyle na razie o spotkaniu w Genewie. Można snuć różne spekulacje co do dalszego biegu wydarzeń, choć — nie ukrywam — że mój niepokój budzi ostatnie przemówienie R. Reagana do Kongresu i jego stanowisko w sprawie amerykańskich zbrojeń kosmicznych, które uważa za swe „życiowe marzenie".

Pożyjemy, zobaczymy...

Teraz jeszcze kilka słów o mym pobycie w ZSRR, do czego powrócę w następnych publikacjach. Przebywałem w Moskwie, w Nowgorodzie i w Charkowie jako członek delegacji (dwuosobowej!) Klubu Redakcyjnego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL. Delegacja, jak się rzekło, była dwuosobowa, więc mogę wymienić jeszcze nazwisko drugiego członka i szefa naszej delegacji — red. Mariana Flejsierowicza, zastępcy redaktora naczelnego „Głosu Wielkopolskiego" i przewodniczącego Klubu Redakcyjnego SD PRL. Ów klub skupia w swoich szeregach redaktorów naczelnych, ich zastępców i sekretarzy redakcji. (Oczywiście tych, którzy do klubu wstąpili, żadnego przymusu tutaj nie ma...).

Spotkaliśmy się z bardzo serdecznym przyjęciem ze strony Związku Dziennikarzy Radzieckich, którego kierownictwo nas podejmowało, starając się uwzględnić wszystkie nasze życzenia. Mieliśmy okazję rozmawiać z przedstawicielami czołowych pism radzieckich, wśród nich „Sowieckiej Rossiji", i poznać główne kierunki ich działalności przed zbliżającym się Zjazdem KPZR. W Nowgorodzie odbyliśmy spotkanie z zespołem „Nowgorodzkiej Prawdy", a w Charkowie — z zespołem, wydawanej w języku ukraińskim, „Socjalistycznej Charkiwszczyny". Wszędzie, gdziekolwiek przebywaliśmy, a byliśmy również w fabryce obrabiarek i w sowchozie, podejmowano nas niezwykle gościnnie, karmiono znakomicie, aczkolwiek przepraszano, że... bezalkoholowo. Zarządzenia w tej sprawie są skrupulatnie przestrzegane i nawet dla gości z zagranicy żadnych wyjątków się nie czyni. Wódki nie podaje się nawet w wagonach restauracyjnych, a w restauracjach można ją spożywać tylko w skromnych ilościach, zapewne w większych — w restauracjach, w których przebywają cudzoziemcy, mam tu na myśli reprezentacyjne hotele. Najgorzej pod tym względem jest w samej Moskwie, gdzie tylko w nielicznych sklepach sprzedaje się mocniejsze alkohole. Oczywiście od godziny czternastej. W słynnym GUM-ie można wprawdzie dostać koniak, ale lepszego gatunku, w cenie nawet powyżej 20 rubli za półlitrową butelkę!

Do pogłębiania przyjaźni nie jest jednak potrzebny trunek... Rozmowy były długie, nieraz bardzo długie, wykraczały poza wszelki protokół, jeżeli o takim można mówić wśród osób bliskich sobie; wszędzie zainteresowanie Polską — ogromne. Znajomość naszej problematyki dość obszerna, aczkolwiek zróżnicowana, a niekiedy jednostronna. Ci dziennikarze radzieccy, którzy bywali w Polsce i na miejscu mieli możność skonfrontować swoje poglądy, głębiej mogli wejść w gąszcz spraw polskich i lepiej je zrozumieć. Sądzę nieskromnie, że wnieśliśmy jakiś wkład do pełniejszego zrozumienia tego, co między Odrą a Bugiem robimy. Również w czasie rozmów z przygodnie poznanymi ludźmi, którzy — w pociągach czy w hotelach — pytali najwięcej.

Z Charkowa zatelefonowałem do polskiego konsula w Kijowie, Władysława Kruka. Niestety, Kijów nie leżał na naszej trasie, czego obaj żałowaliśmy. Za pośrednictwem „Kameny" Władysław Kruk przekazał pozdrowienia wszystkim przyjaciołom i znajomym w Lublinie, co niniejszym czynię.

M. A. Jaworski

Literacka Nagroda Nobla 1985

CLAUDE SIMON

TEGOROCZNYM laureatem literackiej Nagrody Nobla został Claude Simon — pisarz należący do grupy tzw. „nowej powieści" francuskiej, powstałej w latach pięćdziesiątych, a której głównymi przedstawicielami są również: S. Becketi (uchodzący za prekursora), M. Butor, M. Duras, C. Ollier, R. Pinget, A. Robbe-Grillet i N. Sarraute.

C. Simon urodził się 10 października 1913 roku w Tananarive na Madagaskarze w rodzinie francuskiej, w której ojciec pochodził z Franche-Comté, a matka z Roussillon. Dzieciństwo spędził w Perpignan, przy boku matki, gdy ojciec — będący zawodowym oficerem — zginął na froncie w początkowym okresie I wojny światowej. Ukończył gimnazjum Stanisława w Paryżu, a następnie uczęszczał na zajęcia z malarstwa w akademii A. Lhote'a. Ukoronowaniem jego studiów by' pobyt w Oxfordzie i Cambridge. W roku 1940, wcielony do 31 Pułku Kawalerii, wziął udział w walkach nad Mozą w Belgii, skąd dostał się do niewoli. Lecz w październiku tego samego roku udało mu się zbiec ze stalagu IV B w Mühlbergu nad Łabą. Po powrocie do kraju rozpoczyna karierę pisarską, która trwa do dnia dzisiejszego. Zapraszany przez różne uniwersytety, podróżuje po Europie, jedzie do ZSRR, USA, krajów Ameryki Łacińskiej, Japonii i Indii. W roku 1973 Uniwersytet w Norwich (Anglia) nadaje mu tytuł doktora „honoris causa". Mieszka w Paryżu, a część roku spędza w Salses, we wschodnich Pirenejach.

Owocem dotychczasowej jego twórczości jest 17 utworów — głównie powieści i kilka tekstów związanych z malarstwem. Oto one: *Oszust (Le Tricheur*, 1945). *Trudna sytuacja (La Corde raide*, 1947), *Gulliver (Gulliver*, 1952), *Święto wiosny (Le Sacre du printemps*, 1954), *Wiatr (Le Vent*, 1957), *Trawa (L'Herbe*, 1958), *Droga przez Flandrię (La Route des Flandres*, 1960), *Pałac (Le Palace*, 1962), *Kobiety (F mmes*, 1966) — na temat 23 obrazów J. Miró, *Historia (Histoire*, 1967), *Bitwa pod Farsalos (La Bataille de Pharsale*, 1969), *Ślepy Orion (Orion aveugle*, 1970), *Ciała przewodzące (Les Corps conducteurs*, 1971), *Tryptyk (Triptyque*, 1973), *Lekcja rzeczy (Leçon de choses*, 1975), *Georgiki (Les Géorgiques*, 1981). *Włosy Bereniki (La Chevelure de Bérénice*, 1984).

Twórczość C. Simona — podlegającą ciągłej ewolucji — można podzielić na trzy okresy.

Pierwsze jego utwory, zbliżone jeszcze do tradycyjnej powieści realistycznej, są najmniej osobiste i oryginalne. Od samego początku daje się zauważyć szczególny wpływ Prousta (eksploatowanie tematyki czasu, odwoływanie się do wspomnień i pamięci, długie zdania), Faulknera (zakłócanie chronologii, rozbijanie ciągłości opowiadania, przywiązywanie uwagi do opisów) i Joyce'a (monolog wewnętrzny, zaniechanie interpunkcji, różne sztuczki typograficzne).

Wiatr otwiera drugi okres — eksperymentalny — którego szczytowym osiągnięciem będzie *Historia*. Autor stara się zachować jeszcze niektóre elementy tradycyjnego opowiadania, jak wątek fabularny, postacie czy kontekst społeczno-historyczny, lecz mimo wszystko ulegają one systematycznej degradacji.

Największy rozgłos z tego okresu zyskała sobie *Droga przez Flandrię*. Jej główny bohater, Georges, spędzając w kilka lat po wojnie noc z Korynną, żoną swego przełożonego poległego w 1940 roku na froncie, odtwarza w formie monologu wewnętrznego zdarzenia, emocje i znaki zapytania związane z rodziną Reixach. Opowiadanie nie odbywa się w porządku chronologicznym, ani w myśl zasad logicznych. Główne wątki, jak wojna, śmierć, miłość, zdrada i wyścigi konne, pojawiają się na zasadzie skojarzeń myślowych, wizualnych i słownych, wzajemnie się przeplatają, bądź nakładają. Taki sposób opowiadania wymaga stałej uwagi czytelnika oraz apeluje do jego czynnej i twórczej postawy.

Bitwa pod Farsalos inauguruje trzeci okres, który zbliża autora do tzw. „nowej nowej powieści". Anegdota zanika zupełnie, a główne postacie i narrator w ostatniej części utworu figurują jako „O", co oznacza ich je-

III Kongres Nauki Polskiej

Ireneusz J. Kamiński

9 GRUDNIA w Warszawie rozpocznie obrady III Kongres Nauki Polskiej, w którym weźmie udział około 1200 uczonych, twórców techniki, organizatorów życia społeczno-gospodarczego.

Ma to być debata robocza; nie powołano komitetu honorowego, nie zaproszono gości zagranicznych.

Kongres powinien wyznaczyć nowe kierunki rozwojowe naszej nauki, sięgające poza rok 2000, ocenić jej poziom i dorobek, a także możliwości i różnorakie uwarunkowania uczestnictwa w kreowaniu bytu społeczno-gospodarczego i kulturalnego kraju. Niektóre problemy rozpatrywane będą w kontekście specyficznie polskim, inne, określające uniwersalny etos nauki, w znakomicie szerszym, światowym. W materiałach przedkongresowych przewija się intencja skonstruowania transmisji między badaniami naukowymi, a takimi ważnymi obszarami życia praktycznego, jak przemysł, rolnictwo, ochrona zdrowia. Ów związek pojmuje się zresztą na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Jak łatwo spostrzec, problematyka kongresu zazębia się z rudymentami reformy gospodarczej — bo inaczej być nie może.

A teraz, po tej szkicowej ekspozycji programu grudniowej narady nauki polskiej, należałoby chyba powiedzieć, że czeka nas wielka rzecz: najpierw intelektualna, ale rychło potem konkretna i spełniająca się w obywatelskiej codzienności pod postacią np. zniesienia reglamentacji mięsa — oczywiście za sprawą uczonych, którzy przecież wszystko mogą, jeśli zechcą. Z drugiej zaś strony, może wypadałoby oznajmić, że wraz z ostatnim dniem warszawskiej debaty — no, troszeczkę później — laboratoria uczelni zaczną pękać w szwach pod naporem nowej aparatury, wielki Gmach Chemii UMCS zaleją hektolitry odczynników, a biblioteki zakładowe trzasną pod ciężarem różnych „abstraktów" i innej nieodzownej literatury obcojęzycznej w formie książek i czasopism. W ogóle będzie nam dobrze, i nawet reforma gospodarcza ruszy z kopyta, dezaktualizując porównywanie prof. Baki do pewnego poety sprzed wieków.

Bądźmy jednak skromniejsi, powiedzmy tylko, że III Kongres Nauki Polskiej to przedsięwzięcie tyle poważne, co odważne, konieczne, choć zdaniem niektórych osób — przedwczesne, wręcz zbyteczne, raczej ceremonialne, niż realistyczne, bo dochodzące do skutku w warunkach ciągle nieustabilizowanych struktur gospodarczych, które stanowią wszak fundament każdego działania w sferze ducha i poznania. Trudno też przesądzać, wskazują krytycy, o trwałości nowych form organizacji nauki i szkolnictwa wyższego. A poza tym uchwały poprzedniej takiej debaty, urządzonej z hukiem w 1973 roku, doczekały się zaledwie ułamkowej realizacji. Czy z kryzysu, w jaki wpadła nauka polska, może ją zatem wyciągnąć kolejna zbiórka?!

Prawda, nauka ma się kiepsko. Zdaniem Senatu UMCS: „Nie może budzić dziś niczyich wątpliwości fakt, że obecny stan nauki polskiej pod względem potencjału naukowo-badawczego, struktury organizacyjnej, wyposażenia materiałowego, inwestycji, zabezpieczenia finansowego wywołuje we wszystkich środowiskach naukowych kraju głębokie zaniepokojenie i obawę o dalsze perspektywy rozwoju nauki dla dobra narodu i państwa. Sytuacja we wszystkich tych dziedzinach domaga się radykalnych reform, realistycznie traktowanych z uwagi na obecne kryzysowe położenie stanu gospodarki państwa".

Mamy w Polsce 92 wyższe uczelnie cywilne, w których pracuje ponad 55 000 nauczycieli akademickich. Jeśli ta cała armia postrzega sytuację nauki w ciemnych barwach, czuje się niedowartościowana i sfrustrowana — o, to już poważna sprawa. Można co prawda w tym miejscu napomknąć, że po ostatnich podwyżkach uposażeń etat profesora uniwersytetu opiewa na 26 000 zł, docenta — 22 000, adiunkta — 17 500, starszego asystenta — 13 800, asystenta — 12 700, a starszego wykładowcy — 16 000 (są to kwoty wyjściowe, rosnące ze stażem), ale przecież nie zmieni to ogólnego obrazu sytuacji samej nauki. Można ów wizerunek scharakteryzować matematycznie: przypominając, że nakłady na naukę z budżetu państwa są w Polsce najniższe wśród krajów socjalistycznych. Ba, ale nie tylko Profesor (jako symbol większej działki narodowej) stoi w kolejce do skromnego jeszcze dochodu narodowego, przeznaczonego do podziału, i nie tylko on ogłasza, że jest najważniejszy w państwie. Prawda, na dłuższą metę nie pociągniemy tego naszego wspólnego wózka bez pomocy nauki i sprzężonej z nią techniki. To nie ulega kwestii.

Ale właśnie w takiej sytuacji kongres jest potrzebny, albowiem — jak to trafnie stwierdzono we wspomnianych materiałach — „bez otwartej dyskusji nad przyczynami trudności i konfliktów nie jest możliwe przezwyciężenie podstawowych trudności nauki polskiej". Zauważmy od razu, że grudniową debatę przygotowano starannie i w sposób demokratyczny, formułując np. tezy kongresowe, które poddano pod dyskusję wszystkich środowisk naukowych w Polsce: związanych z PAN, uczelniami, instytutami resortowymi, towarzystwami. Prawie 80 proc. wypowiedzi potwierdziło wagę przedsięwzięcia. Więc po co ta mowa?

Po to, by wskazać że ten kongres potrzebny jest także nam, ludziom spoza obszaru nauki — abyśmy znów nabrali do niej pewnego zaufania. I nie chodzi tu o kwestie polityczne, aczkolwiek prawdą pozostaje, że tumult na uczelniach w początkach lat osiemdziesiątych w niemałym stopniu obniżył potencjał twórczy nauki, demolując też horyzonty aksjologiczne studentów, co dzisiaj „owocuje" apatią młodzieży, absencją na zajęciach i niską sprawnością nauczania. Rzecz w tym, że w odczuciu przeciętnego obywatela nauka nie spełniła swoich obietnic, dotyczących podniesienia jakości polskiego życia na wyższy poziom, że po prostu wyprowadziła się z tego życia w zacisze gabinetów i laboratoriów. Kształtowany przez wiele lat powojennych, mit nauki — położnej dobrobytu rozpękł się już w latach siedemdziesiątych, by sięgnąć bruku w naszej dekadzie. Naturalnie, jest to opinia jednostronna, w poważnym stopniu krzywdząca, bo w końcu nauka jest tylko elementem organizmu społeczno-gospodarczego, podlega ogólniejszym dyrektywom politycznym. Ale opinia ta jest, funkcjonuje — bo nie całkowicie została wyssana z palca, o czym mówią... właśnie owe tezy kongresowe, które chwalą się wielką zaletą: źródeł depresji dopatrują się zarówno po stronie polityki, jak i w środowisku nauki. Racjonalna to perspektywa, obiecująca.

Inna sprawa, że nauka we współczesnym świecie w ogóle straciła na prestiżu i jakby cofa się pod naporem magicznych emocji, spuszczonych ze smyczy przez „nawiedzonych" — ba, to zrozumiałe, ale także przez polskie damy naukowo-romantyczne, biegłe w tajnikach „nowej gnozy" z Princetown.

Zatem kongres jest potrzebny. Ujawniając miejsca skorodowane nauki, może przecież zamanifestować jej siłę, powiedzmy — resztki sił, które wciąż liczą się w naszym majątku. I może potwierdzić dobrą wolę uczonych na rzecz wspólnego ratowania się z opresji. Polakom potrzebna jest pozytywna wizja przyszłości, szlachetniejsza i większa od programu pt. wychodzimy z kryzysu. A kto jest bardziej predestynowany do wykreowania owej wizji, jak nie elita intelektualna kraju?! Wiadomo: w sferze nauki odczuwa się brak aparatury, odpowiedniej bazy poligraficznej, kontaktów zagranicznych, literatury fachowej, mechanizmów współpracy z przemysłem, ale także — humanistyka, myśl społeczna! — zainteresowania ze strony instytucji, których zadaniem jest pośrednictwo i dystrybucja wartości w przestrzeniach życia zbiorowego. Czyli: po pierwsze — nie mamy armat? Niby tak, ale kto powiedział, że wraz z utratą butów traci się szlachectwo?!

W tym, co wyżej, coś jest. Niestety, także sporo naiwności, odrobina demagogii. Trudno się jednak pogodzić z myślą, że wizja wielkiej świni już na zawsze świat nam przesłoni. Świnia, owszem, zwierzę pożyteczne, smaczne i kaloryczne, ale ciągłe obcowanie ze świnią może człeka zwieprzyć.

Kongres nie doprowadzi do zniesienia reglamentacji mięsa w kraju, nie spowoduje żadnego cudu gospodarczego, ani nie postawi nauki na nogi. Jest przecież szansą poważną: dla społeczeństwa, które powinno wreszcie uświadomić sobie utylitarne, kulturowe i moralne znaczenie nauki, a także dla niej samej — jako okazja do głębokiej introspekcji, wynoszącej na światło dzienne ukryte potencje i kilogramy... pn. prace naukowe. Wszak tezy stwierdzają, że istnieje konieczność „pogłębienia krytyki naukowej" wobec własnego dorobku.

Nauce — nie, nam wszystkim potrzebne jest systemowe połączenie nauki z organizmem społeczno-gospodarczym, które respektując autonomię warsztatu twórczego, niejako automatycznie prowadziłoby myśl badawczą i techniczną ku nieoznaczonym, anemicznym lub domagającym się innowacji rejonom rzeczywistości. Ten system zaczyna się nawet kształtować, lecz daleko mu do doskonałości. „Dotychczasowe próby wdrażania osiągnięć nauki w praktyce należy zatem uznać za niewystarczające. Mechanizmy ekonomiczne i organizacyjne nie spełniły swoich zadań także po wprowadzeniu zasad reformy gospodarczej" — podkreślono w tezach. W tej dziedzinie zbyt wiele zależy jeszcze od przypadku i dobrej woli jednostek. Pracownik UMCS zarabia na instalacji przygotowanej dla przemysłu milion złotych, natomiast znakomite prototypy „obuwia dla stóp wrażliwych", skonstruowane z myślą o kobietach pracujących w pozycji stojącej przez lubelskich ortopedów z Akademii Medycznej, od pięciu lat czekają na zainteresowanie fabryk obuwia... Zdaje się, że na takie buty naprawdę czekają „tylko" tysiące ekspedientek i innych niewiast, którym przyszło tyrać w pozycji najbardziej ponoć ludzkiej.

Sprawa takiego systemu na pewno stanie na kongresie, ale najciekawsze, co będzie później, po zakończeniu obrad...

---

dnoczesną redukcję do inicjału i „zera". We wszystkich utworach tego okresu następuje ewolucja w kierunku „produkcji" tekstu, gdzie szczególnego znaczenia nabiera opis — zdolny zastąpić narrację — oraz technika „collage'u". W *Ciałach przewodzących* autor zestawia, na przykład, na zasadzie analogii, kontrastu lub różnorakich skojarzeń, reprodukcje dzieł sztuki, plansze anatomiczne, zwykłe przedmioty (telefon, pudełko do cygar itp.), wycinki z gazet, napisy reklamowe, dokumenty z kongresu pisarzy (w języku hiszpańskim z tłumaczeniem zazwyczaj na francuski), które stanowią doskonały pretekst do generowania tekstu.

Ostatecznie przedmiotem dzieła staje się sam akt twórczy, problem języka i metod kompozycji oraz wewnętrzne zmagania autora z tekstem — zgodnie z twierdzeniem J. Ricardou, że „powieść przestaje być zapisem przygody, a staje się przygodą zapisu".

Pisarstwo Simona wykazuje ogromne powinowactwo z malarstwem. Pisarz tworzy swe dzieło tak jakby malował obraz, a każdy obraz staje się w pierwszym rzędzie kompozycją. Ponadto często odwołuje się do swych ulubionych malarzy: Poussina, J. Miró, F. Bacona, R. Rauschenberga, L. Nelsona. Obraz Poussina, zatytułowany *Ślepy Orion idący w kierunku wschodzącego słońca*, powraca najczęściej i symbolizuje samego pisarza, błądzącego z piórem w ręku w trakcie tworzenia swego dzieła, usilnie zdążającego do celu, którego prawdopodobnie nigdy nie osiągnie, gdyż nigdy nie będzie w stanie wszystkiego

powiedzieć, ponieważ zawsze będzie można jeszcze wyrazić to inaczej. Stąd ciągłe poszukiwanie nowych środków i sposobów wyrażania i przekazu myśli.

Inną cechą charakterystyczną dla twórczości Simona jest obecność elementów autobiograficznych: doświadczeń kombatanckich z roku 1940 w *Drodze przez Flandrię* i *Georgikach*, epizodu ze sprzedaży posiadłości rodzinnych w *Trawie*, reminiscencji z podróży do Grecji i Ameryki w *Bitwie pod Farsalos* i *Ciałach przewodzących*; *Historia* zbudowana została na podstawie kolekcji pocztówek należących do matki pisarza, a *Trudna sytuacja* w całości funkcjonuje jako tekst autobiograficzny. Podobnie jak Proust, Simon korzysta z osobistych doświadczeń i przeżyć, lecz traktuje je w sposób selektywny, fragmentaryczny, przemilcza niektóre z nich, a inne zniekształca. W *Drodze przez Flandrię* nie odnajdujemy absolutnie niczego na temat ucieczki pisarza z obozu; albowiem główny bohater, Georges, spędza całą wojnę w niewoli.

Wojna jest z kolei tematem, który najczęściej przewija się na kartkach kilku powieści: wojna w Hiszpanii (*Pałac*), klęska Francji w roku 1940 (*Droga przez Flandrię*), wyzwolenie Francji (*Gulliwer*), bitwa pod Farsalos w powieści o tym samym tytule. Nie są to jednak świadectwa historyczne, lecz literacka transpozycja niektórych wydarzeń zaczerpniętych z historii, a ściślej wizja tych wydarzeń w momencie pisania utworu, czyli dostrzeganych przez pryzmat współczesności. Zgodnie z założeniami fenomenologii, na których opiera się cała „nowa powieść", pisarza nie interesuje rzeczywistość jako taka, lecz sposób jej percepcji.

Utwory C. Simona nie należą do lektur łatwych. Pozbawione intrygi, chronologicznej ciągłości, związków przyczynowo-skutkowych, wszechwiedzy narratora oraz napisane nieskończenie długimi zdaniami z licznymi nawiasami, często podwójnymi, z rozluźnieniem rygorów interpunkcji aż do jej zupełnego zaniku we *Włosach Bereniki*, sprawiają, że czytelnik czuje się niejednokrotnie zagubiony i bezradny i nie znajduje w nich żadnego sensu. A jednak są to utwory oryginalne, ciekawe, aczkolwiek wymagające olbrzymiej koncentracji uwagi i współuczestnictwa w tej grze, jaką jest powieść, w myśl zasady: „powieściopisarz tylko powieść zaczyna, a czytelnik ją kończy; powieściopisarz proponuje, a czytelnik dysponuje".

Dotychczas utwory C. Simona przetłumaczone zostały na ponad 15 języków, w tym również na polski. Przekładu *Drogi przez Flandrię* dokonała Wiera Bieńkowska i powieść ukazała się w roku 1982 w wydawnictwie „Czytelnik".

Czesław Grzesiak

Z historii najnowszej

Ucieczka króla Rumunii

Mirosław Derecki

PEWNEGO jesiennego dnia 1940 r. w poprzek Rumunii pędził z Bukaresztu ku granicy z Jugosławią elegancki, złożony z kilku lśniących bielą wagonów, pociąg. Otwierały się przed nim semafory, usuwano z trasy przejazdu zagradzające drogę transporty kolejowe, na stacyjnych peronach stały gromady gapiów. Słynny „biały pociąg" króla Rumunii, Karola II, znano dobrze nie tylko w kraju, ale głośno było o nim także w całej Europie. Podobnie zresztą, jak o wieloletnim związku króla z piękną aktorką, panią Lupescu, z którą stanowili nierozłączną parę. I teraz oto pociąg królewski uwoził za granicę niedawnego władcę Rumunii, jego ukochaną oraz wiernego marszałka dworu, szambelana Urdareanu. Karol II opuszczał kraj, obawiając się o własne życie.

Czterdziestosiedmioletni Karol II był trzecim władcą Rumunii od czasu, gdy w 1881 r. stała się ona królestwem z panującą dynastią Hohenzollern-Sigmaringen. Jeszcze za życia swego ojca, Ferdynanda I, książę Karol zrzekł się, w 1925 r., praw do tronu na rzecz czteroletniego syna Michała, w którego imieniu miała rządzić rada regencyjna, aż chłopiec dojdzie do pełnoletności. Jednakże trzy lata po śmierci starego króla książę zmienił zdanie, dokonał zamachu stanu i objął tron jako Karol II. Z biegiem czasu Karol II coraz mocniej odchodził od profrancuskiej orientacji Ferdynanda I w stronę zbliżenia z Niemcami, coraz mocniej też ulegał wpływom faszyzmu. W 1938 r., ogłosiwszy antydemokratyczną, faszyzującą konstytucję, skupił w swoich rękach większość władzy. Było to nie w smak nie tylko jego zdecydowanym przeciwnikom politycznym, ale również zwolennikom podobnej co król orientacji politycznej. 6 września 1940 r. do władzy w Rumunii doszedł generał Ion Antonescu; zmusił Karola II do abdykacji na rzecz 19-letniego księcia Michała, który zasiadł na tronie jako król Michał I i przekazał natychmiast pełnię władzy... Antonescu. W Rumunii zapanowała dyktatura faszystowsko-wojskowa. A ex-król uznał za rzecz najbardziej sensowną poszukanie jakiegoś spokojnego i w miarę bezpiecznego miejsca do dalszego życia w którymś z krajów Zachodniej Europy lub nawet za oceanem. Postanowił zniknąć z własnego kraju możliwie najszybciej...

Królewski pociąg zbliżał się teraz do granicznej stacji Temeszwar. Jeszcze kilka minut — ostatni postój na rumuńskiej ziemi, jakieś krótkie przemówienie przedstawiciela miejscowych władz, wojskowy salut, hymn narodowy, gwizdek zawiadowcy stacji, i podróżni odetchną z ulgą — już na jugosłowiańskiej ziemi...

Maszynista, zobaczywszy tablicę z napisem „Temeszwar", dał sygnał i miał już uruchomić hamulce, gdy nagle uświadomił sobie, że na stacji coś jest nie w porządku. Zamiast spodziewanego tłumu wojskowych, kolejarzy i osób cywilnych, na peronach nie było nikogo. Kompletna pustka. Nie widać było nawet sylwetki zawiadowcy. Stacja kolejowa Temeszwar wyglądała jak wymarła Tknięty złym przeczuciem, maszynista dodał pary i pociąg skoczył do przodu. Kiedy ostatnie wagony mijały stację, z okien dworca posypały się serie z karabinów maszynowych, a na peron wypadli uzbrojeni po zęby ludzie w zielonych koszulach Garda de Fier — Żelaznej Gwardii. Ale kule zdołały dosięgnąć tylko ostatnich, bagażowych wagonów. Jeszcze chwila i pociąg, „wziąwszy szturmem" granicę rumuńsko-jugosłowiańską, zatrzymał się, dysząc parą, na jugosłowiańskiej stacyjce Kikindy. Piękny, luksusowy „biały pociąg" Karola II był — jak opowiadali później naoczni świadkowie — w znacznej części podziurawiony kulami i porysowany niczym po ataku lotniczym.

Żelazna Gwardia

skrajnie faszytowska, terrorystyczna, prohitlerowska organizacja, od lat szykowała się do wzięcia odwetu na Karolu II. Narodziła się w niedługi czas po przejęciu władzy przez księcia, w 1931 r., jako siła zbrojna powstałego cztery lata wcześniej, osławionego Legionu Michała Archanioła, szowinistycznej, nacjonalistycznej organizacji faszystowskiej. Do Żelaznej Gwardii szły najbardziej skrajne, najbardziej bezwzględne jednostki spośród członków Legionu. „Specjalizowała się" Żelazna Gwardia w stosowaniu terroru, w dokonywaniu zamachów politycznych, jak m. in. ten, dokonany w 1933 r. na osobie premiera rządu G. I. Duca, liberała, przeciwstawiającego się zbliżeniu z Niemcami po objęciu władzy przez Hitlera. W latach 1938—1940, ostatecznie zdelegalizowana przez rząd i króla, Żelazna Gwardia zeszła do podziemia, aby po przewrocie gen. Antonescu wypłynąć na powierzchnię jako organizacja całkowicie legalna i nawet mająca swój udział w rządzeniu krajem. Jeden z jej przywódców, H. Sima, szczery „zausznik" gestapo i SS, został wicepremierem. Próbowała Żelazna Gwardia dokonać następnie zamachu na marszałka Antonescu, aby przejąć władzę w kraju, co zresztą zakończyło się zupełnym fiaskiem.

Ale to wszystko było później. Tymczasem już jesienią 1939 r., gdy kończyła się kampania wrześniowa w Polsce, a Rumunia pełna była polskich uciekinierów i internowanego wojska polskiego, Żelazna Gwardia dokonała — jeszcze z pozycji konspiracyjnych — pierwszego potężnego uderzenia, które wstrząsnęło krajem i spowodowało w Rumunii powszechną panikę. Oto 21 września 1939 r. zginął z rąk „legionistów" premier Armand Calinescu. Uważano, że rozpoczną się teraz powszechne akty krwawego terroru. Sam król Karol II poczuł się poważnie zagrożony.

Alfred Poniński ówczesny I Radca Ambasady RP w Bukareszcie, w opublikowanym w 1964 r. na emigracji wspomnieniu pt. „Wrzesień 1939 r. w Rumunii" w niezwykle sugestywny sposób kreśli atmosferę grozy i niepewności tamtych dni wśród najwyżej postawionych osobistości kraju. W trzy dni po zamordowaniu premiera Calinescu Poniński udał się do pałacu królewskiego w Bukareszcie z przewidzianą protokołem dyplomatycznym wizytą kondolencyjną. Ale pałac był pusty. Dopiero znajomy kamerdyner zwierzył mu się, że Karol II przebywa incognito, wraz z marszałkiem dworu Urdareanu, w pałacu Cotroceni, dawnej siedzibie nieżyjącej już królowej Marii, matki króla, strzeżony przez najwierniejsze oddziały wojska. Poniński udał się więc do Cotroceni. Już przy bramie wjazdowej zobaczył, że pałacowy park pełen jest wojska stojącego w ostrym pogotowiu.

„Gdy zjawiłem się — pisze Poniński — [...] oficer połączył mnie telefonicznie z warownią z dyżurnym adiutantem króla. [...] Parę minut później znalazłem się w wielkim hallu opustoszałego pałacu. Górne okna były szczelnie zasłonięte meble w pokrowcach, dywany pozwijane, powietrze zatęchłe... Przy wszystkich drzwiach czuwały warty... Zrobiło to na mnie przygnębiające wrażenie, gdyż po raz ostatni byłem w tych murach przed rokiem, by, wraz z żoną, złożyć hołd zwłokom królowej Matki, Marii.

Wprowadzono mnie na pierwsze piętro do niewielkiego pokoju, gdzie z każdego kąta wyglądały porozrzucane rzeczy i papiery. Z sąsiedniego pokoju dochodził podniesiony głos króla wydającego rozkazy adiutantom. Po chwili wyszedł stamtąd płk Urdareanu i na wstępie powiedział, że przed chwilą zaprzysiężony został nowy premier, generał kawalerii gwardii, Argesanu, a niebawem przybędzie generał Marinescu, mianowany ministrem spraw wewnętrznych.

Widocznie przejęty grozą sytuacji, Minister Dworu wskazał na małą walizkę i tekę pod oknem, mówiąc: »Gdyśmy tu jechali pod bezpośrednim wrażeniem zamachu na niezastąpionego Calinescu i w obliczu zupełnej niepewności po proklamacji radiowej spiskowców, pomyślałem o pańskich rodakach... I oni musieli się wycofywać w pośpiechu i w zupełnej niepewności«".

W rok później w okresie od 26 do 28 września 1940 r., Żelazna Gwardia miała wymordować ponad 60 wybitnych polityków rumuńskich, którzy jej zawadzali lub na których przyszedł czas pomsty.

Ale wracajmy do ex-króla

Karola II, pani Lupescu oraz „białego pociągu". Jugosławia okazała się dopiero początkiem ich długiej i pełnej niezwykłych przygód tułaczki po wielu krajach Europy, I zresztą nie tylko Europy.

Król-uciekinier był osobą dosyć niewygodną dla wielu rządów pragnących zachować względnie dobre stosunki z hitlerowskimi Niemcami, którzy — nawiasem mówiąc — wciąż ponawiali złowróżebnie brzmiące zaproszenia do udzielenia mu „gościny" w jakimś „spokojnym" i oddalonym od światowych niepokojów zameczku w południowych Niemczech. Król obawiał się nie tylko uwięzienia ale jeszcze — dodatkowych niebezpieczeństw, dla jego związku: pani Lupescu miała żydowskich przodków.

Z Jugosławii został Karol II wyprawiony do Włoch, potem jego królewski pociąg zatrzymał się na pewien czas w petainowskiej Francji, wreszcie znalazł „azyl" w Hiszpanii. Król myślał o wyjeździe z Hiszpanii do Portugalii i dalej — do Meksyku. Ale Hiszpania okazała się pułapką. Generał Franco, zdecydowanie naciskany przez Niemców, obawiających się, że Karol II mógłby teraz stanąć na czele jakiegoś rumuńskiego rządu emigracyjnego (podczas gdy Rumunia marszałka Antonescu była już jednym z państw „osi": Berlin — Rzym — Tokio) — otóż generał Franco miał „przytrzymać" króla w swoim kraju. A gdyby zaszła taka „potrzeba", zgodzić się także na jego ekstradycję.

Tymczasem jednak zachowywano pełnię pozorów. Karol II niby to korzystał, z własnej woli, z „droit de résidence" w Hiszpanii i nigdzie się dalej nie wybierał, jako że... władze hiszpańskie wciąż „czuwały nad jego bezpieczeństwem". Ulokowano go w pięknym hotelu w Sewilli i otoczono dyskretną, ale silną strażą, która nieodstępnie towarzyszyła mu — z oddali — we wszystkich spacerach i przejażdżkach samochodowych. Jednym słowem: Karol II był wprawdzie wciąż jeszcze „dostojnym gościem" Hiszpanii, ale zarazem jej nieformalnym więźniem. Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna i król zdecydował się na ucieczkę.

I tutaj wypływa na światło dzienne

postać polskiego pułkownika

Jana Kowalewskiego, rezydującego wówczas w Portugalii, w Lizbonie, człowieka polskich władz emigracyjnych w Londynie, zaangażowanego w tzw. Akcję Kontynentalną. Miała owa „akcja" rządu emigracyjnego na celu podporządkowanie mu środowisk światowej Polonii, m. in. kierowanie młodych jej przedstawicieli do Polskich Sił Zbrojnych. Ale Akcja Kontynentalna posiadała również inne kierunki działania: propagandowe sabotażu, wystąpień zbrojnych i poczynań wywiadowczych na zajętych przez Niemców terenach oraz w krajach, które wchodziły w skład „osi". Wszystko to działało — oczywiście — w porozumieniu i w ścisłej współpracy z brytyjskim Special Operation Executive (SOE) — Zarządem Operacji Specjalnych — któremu notabene podlegały m. in. działania komandosów, „cichociemnych" itp.

Trzeba powiedzieć, że płk Kowalewski spełniał wszystkie warunki wymagane do uczestniczenia w działalności takiego właśnie rodzaju. Był postacią o niezwykłym życiorysie a przy tym dość tajemniczą. Urodzony w 1892 r. w Łodzi, po ukończeniu średniej szkoły handlowej podjął studia chemiczne na uniwersytecie w Liège w Belgii. Zmobilizowany w 1914 r. do wojska rosyjskiego, walczył jako oficer piechoty na Polesiu i w Rumunii. Okazał się utalentowanym oficerem do spraw szyfrów i deszyfrowania. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości pozostał w wojsku. Wyjeżdżał do Japonii jako instruktor do spraw szyfrów Ukończywszy następnie Ecole Superieure de Guerre w Paryżu, został w 1928 r. mianowany attaché wojskowym w Moskwie, a w roku 1933 attaché wojskowym przy Ambasadzie RP w Bukareszcie. Po czterech latach, w 1937 r. opuścił wojsko i został wyznaczony Szefem Sztabu OZON Zrezygnował po kilku miesiącach. Powierzono mu wówczas odpowiedzialne „cywilne" stanowisko — dyrektora Towarzystwa Importu Surowców Strategicznych (TISSA) w Warszawie. 17 września 1939 r. przekroczył — jako osoba cywilna — granicę rumuńską i, odnowiwszy w Bukareszcie stare znajomości, został prezesem Komitetu Pomocy Uchodźcom, W Bukareszcie nawiązał kontakt z gen. Sikorskim i oddał mu się do dyspozycji. Mimo że miał opinię — o czym sam pisze w swych wspomnieniach — „ozonowca", „reżymowca", „dwójkarza". Sikorski wezwał go z Rumunii do Paryża. Po upadku Francji płk Jan Kowalewski przedarł się przez Hiszpanię do Portugalii, i tutaj osiadł na placówce Akcji Kontynentalnej. Choć się do tego nigdy nie przyznał, należałoby przypuszczać, że musiał być od lat związany z polskim wywiadem, a nie byłoby dziwne, gdyby kiedyś okazało się, że miał także powiązania — poprzez SOE — z brytyjską Intelligence Service. Bo przecież, działając w pojedynkę, lub tylko w ramach polskiej Akcji Kontynentalnej, nigdy by nie zdołał uruchomić tych możliwości i tych kanałów, dzięki którym ucieczka króla Rumunii Karola II z Hiszpanii do Portugalii okazała się zupełnie możliwa i nadspodziewanie „prosta".

A rzecz — według opublikowanej w ćwierć wieku później przez Kowalewskiego relacji w polskiej prasie na Zachodzie — miała się w sposób następujący.

Otóż pewnego dnia Jan Kowalewski uzyskał w Lizbonie, przez byłego posła rumuńskiego, Iana Pangala, kontakt z szambelanem Karola II, pułkownikiem Urdareanu, któremu udało się uciec z Sewilli i po przekroczeniu granicy portugalskiej dotrzeć do Lizbony. Urdareanu opowiedział Kowalewskiemu o grożącym Karolowi II niebezpieczeństwie i jego woli ucieczki. „Akurat tak się złożyło — pisze Jan Kowalewski [podkr. — MD] — że do Lizbony przyjechał również ma-

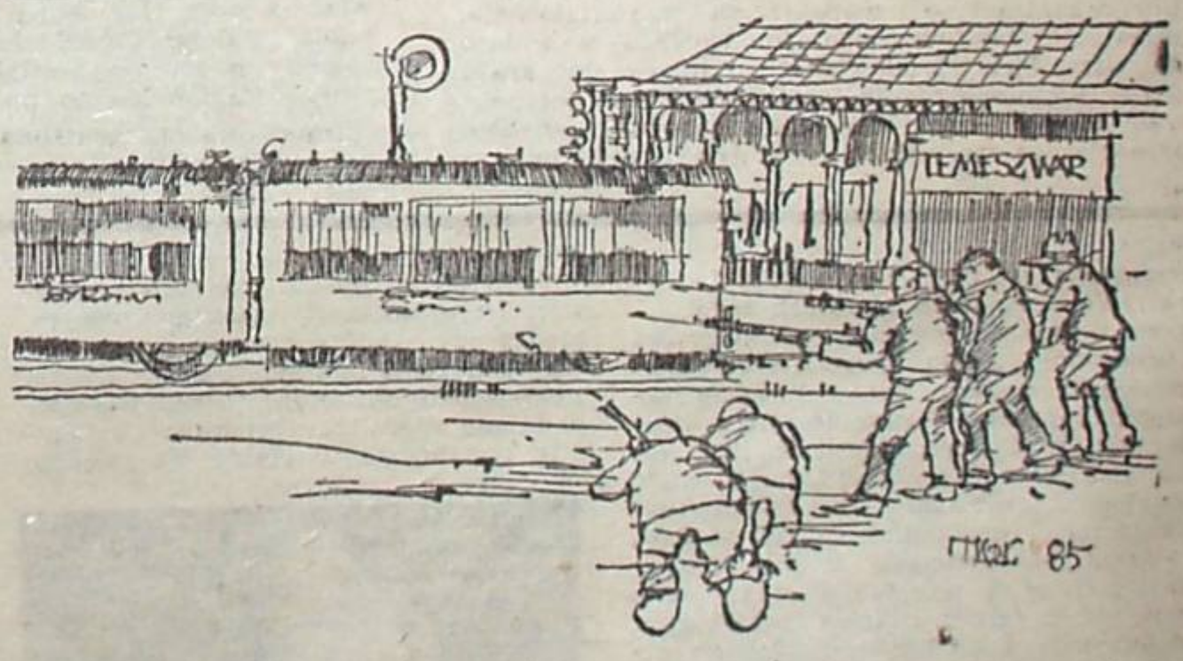

Rys. Józef Tarłowski

jor Żurawski, były korespondent PAT-a który podczas wojny obsługiwał prasę „południowoamerykańską. Przyjechał do mnie z tym że prasa południowoamerykańska naciska na niego aby za wszelką cenę wydostał od pani Lupescu jej pamiętniki do publikacji. Ponieważ ja mam od dawna bliskie stosunki z królem Karolem, więc mógłbym mu dać wprowadzenie do króla w Sewilli" Dziwne doprawdy: jak na zawołanie zjawia się oto tajemniczy major Żurawski („pracujący dla prasy południowoamerykańskiej") i o niczym nie marzy, tylko o pamiętnikach pani Lupescu... Ale idźmy dalej. Otóż mjr Żurawski staje się natychmiast tak bardzo zaufanym człowiekiem, że: „Na spotkaniu z Urdareanu — ciągnie Kowalewski — omówiliśmy sprawę ucieczki króla z p. Lupescu. [...] Zostały ustalone aż trzy warianty przekroczenia granicy [...] lecz sprawę najważniejszą, mianowicie jak się wymknąć spod potrójnej straży (plan ułożyliśmy w Lizbonie) trzeba było przekazać w szczegółach królowi" Żurawski pojechał do Sewilli i w czasie partii brydża omówił z Karolem II zasady ucieczki.

Przede wszystkim chodziło o to, żeby hiszpańską „eskortę" przyzwyczaić do faktu, że król swoim szybkim samochodem „odrywa" się od niej na trasie automobilowego spaceru aby następnie zwolnić i „dać się dogonić". Widoczny dobrze w swej odkrytej limuzynie miał król i także pani Lupescu nosić zawsze ten sam charakterystyczny strój. Po kilku tygodniach takich przejażdżek nastąpił główny moment akcji.

Podczas kolejnej przejażdżki

i wysforowania się do przodu Karol II wraz ze swoją towarzyszką szybko przesiedli się do stojącego w zaroślach, zakrytego auta a współpracownicy Żurawskiego i Kowalewskiego ubrani w identyczne stroje, błyskawicznie wskoczyli do królewskiego Corda i pognali przed siebie. Tym razem jednak limuzyna nie zwalniała i wkrótce zupełnie zgubiła się ścigającym ją hiszpańskim agentom. Odnaleziono ją pustą dopiero po dwóch dniach. A tymczasem Karol II wraz z panią Lupescu bezpiecznie dotarli do Portugalii.

Jan Kowalewski pisze, iż istniały trzy warianty przekroczenia granicy hiszpańskiej przez Karola II. Pierwszy — zakładał przejście przez granicę w górach, na nie strzeżonym przez służbę graniczną odcinku. Drugi — przejazd koleją z bardzo „mocnymi" fałszywymi paszportami. Trzeci — przewiezienie króla i pani Lupescu w specjalnie powiększonym bagażniku samochodowym, przez jednego z najsłynniejszych portugalskich szmuglerów. Który ze sposobów wybrano? Rzecz niesłychanie dziwna: otóż jeszcze w ćwierć wieku od tamtej chwili Kowalewski nie chciał tego wyjawić. Dlaczego? Czy ujawnienie sposobu w jaki ex-król Rumunii przekroczył granicę hiszpańsko-portugalską, mogłoby — dla osób szczególnie zorientowanych w różnych tajemnicach II wojny światowej oraz służb specjalnych — rzucić jakieś niepotrzebne światło na ówczesne powiązania pułkownika Kowalewskiego? I co się stało z majorem Żurawskim, który wkrótce wyjechał do Meksyku i ślad po nim zaginął? Kim był, dla kogo pracował? Kim byli ludzie którzy pomagali w Sewilli, a potem na trasie do Lizbony, w organizowaniu ucieczki?

Warto tu dodać, że mjr Żurawski, aresztowany przez Hiszpanów pod zarzutem ułatwienia Karolowi II opuszczenia granic Hiszpanii, wykręcił się od odpowiedzialności, oświadczając przesłuchującemu go hiszpańskiemu generałowi że jako polski oficer czuł się w obowiązku dopomóc... „koledze". Karol II był bowiem — co jest zresztą zgodne z prawdą — honorowym szefem i pułkownikiem jednego z pułków polskiej piechoty! Generałowi to... wystarczyło. Zresztą, co miał począć? Oficjalnie Karol II był „gościem" Hiszpanii, a nie jej więźniem i wyjechał z tego kraju w sposób wprawdzie nader oryginalny, ale nikt go niby nie miał prawa zatrzymywać.

Karol II wyjechał z panią Lupescu do Meksyku (po wojnie wrócił do Portugalii, gdzie zmarł w 1953 r.), marszałek Antonescu został w 1946 r. osądzony przez Trybunał Ludowy, a następnie stracony jako zbrodniarz wojenny król Rumunii Michał I w końcu grudnia 1947 r. abdykował i opuścił kraj, major Żurawski zniknął gdzieś na kontynencie południowoamerykańskim, zaś pułkownik Kowalewski dalej strzeże swej tajemnicy. Lub — jeśli już nie żyje — zabrał ją ze sobą do grobu.

I to jest już koniec tej niezwykłej historii o ucieczce króla, jego ukochanej oraz wiernego szambelana — z Rumunii w świat.

Z przeszłości Lublina

Uniwersytet dla robotników

Józef Marczuk

WŚRÓD wielu inicjatyw oświatowych, podejmowanych w Lublinie w okresie międzywojennym, na szczególną uwagę zasługuje dokształcanie młodzieży robotniczej. Zajął się tym z osobliwą dla siebie pasją w 1935 r. znany działacz społeczny i oświatowy Feliks Petruczynik, tworząc wówczas Uniwersytet Powszechny im. Stefana Żeromskiego, jedyną tego rodzaju placówkę dla robotników w województwie lubelskim. Miał on o tyle ułatwioną sytuację, że już od szeregu lat stykał się bezpośrednio z młodzieżą robotniczą, zarówno w pracy zawodowej w samorządzie miejskim, jak też w działalności politycznej w Polskiej Partii Socjalistycznej oraz na kursach dokształcających, prowadzonych w ramach Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Feliks Petruczynik nie był lublinianinem. Urodził się 15 listopada 1899 r. we wsi Polubicze, w powiecie włodawskim, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. Pierwsze nauki pobierał w zakładzie salezjanów w Oświęcimiu i sposobił się do stanu duchownego. Przerwaną edukację (na skutek wybuchu pierwszej wojny światowej) wznowił dopiero w 1916 r. w gimnazjum polskim w Siedlcach. Na terenie tej szkoły był współorganizatorem kółka socjalistycznego, wkrótce został członkiem PPS. Jesienią 1918 r. wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego, uczestniczył też w wojnie polsko-radzieckiej w latach 1919—1920, a następnie odbywał służbę wojskową w Lublinie, już w stopniu podporucznika. Od 1922 r. uczył się w gimnazjum dla dorosłych oraz studiował filozofię w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1927 r. podjął pracę na stanowisku sekretarza redakcji miejscowej gazety „Ziemia Lubelska" i w tym czasie (25 IV 1927 r.) opublikował obszerny memoriał do Prezydium Rady Ministrów, w którym domagał się radykalnej reformy oświaty i wychowania w duchu demokracji i tolerancji. Krytykował w nim elitarny system kształcenia na poziomie średnim i wyższym: „My wiemy, że do szkoły uczęszcza i kończy studia naukowe młodzież nie wyjątkowo uzdolniona, jest to warunek podrzędny, ale przede wszystkim ta młodzież, która na naukę i na szkoły posiada pieniądze".

Pracując następnie od 1928 r. w Wydziale Opieki Społecznej Magistratu w Lublinie na różnych stanowiskach aż do naczelnika włącznie, Petruczynik miał okazję poznać i rozwiązywać szczególnie trudne problemy najbiedniejszej ludności i licznych rodzin bezrobotnych. Wśród oczekujących na pracę duży odsetek stanowili ludzie młodzi, wymagający szczególnie troskliwej opieki ze strony władz miejskich. Gdy w 1935 r. został powołany na kierownika Oddziału Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego w Lublinie, podjął niejako z obowiązku służbowego trud zorganizowania dokształcania robotników. Wiele jednak jego wysiłków rozbijało się początkowo o całkowity niemal brak zainteresowania się robotników sprawą nauki. Najważniejsze pytania, jakie stawiał sobie zdolny organizator uniwersytetu, dobry taktyk i erudyta, brzmiały: jak zdobyć zaufanie środowiska robotniczego, jak rozbudzić w nim chęć do nauki i pracy nad sobą? Odpowiedzi na te pytania udzieliła mu sama młodzież robotnicza, skupiona wokół Oddziału Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, w którym Petruczynik często występował w roli prelegenta. Początkowo zgłosiło się na uniwersytet zaledwie 12 słuchaczy z legitymacją TUR-owską. Przybywających na zajęcia kontrolowano w obawie przed dostaniem się na salę wykładową ludzi niepewnych bądź nawet przeciwników politycznych. Po pewnym czasie Petruczynik wystąpił przeciwko legitymowaniu słuchaczy, oświadczając: „Na nasze odczyty niech przychodzi, kto chce".

„Pewnego razu na odczyt z zakresu religioznawstwa — wspomina po latach Petruczynik — przyszło mnóstwo młodzieży. Sala po prostu była nabita. Przybiegają do mnie starzy towarzysze, ogromnie zaaferowani.

— Towarzyszu Petruczynik — mówią — będzie niedobrze!

— Dlaczego?

— Przyszło wielu studentów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Mogą urządzić awanturę.

— Nie martwcie się. Wszystko będzie w porządku.

Wygłosiłem odczyt w całkowitym spokoju. Gdy skończyłem, głos zabrał jeden ze studentów, starając się w sposób rzeczowy, przy pomocy dowodów zaczerpniętych z pism katolickich i Pisma Świętego, dowieść nieprawidłowości moich wywodów. Po nim drugi i trzeci zastosowali tę samą metodę dyskusji. Sala z zapartym tchem oczekiwała mojej odpowiedzi.

Nietrudno było mi pobić przeciwników ich własną bronią. Byłem przecież wychowankiem szkoły klasztornej. Zbijałem wszystkie argumenty, cytowałem całe wersety Pisma Świętego, a jednocześnie przytaczałem wypowiedzi czołowych filozofów-materialistów. Obecna na sali młodzież robotnicza zgotowała mi owację. Może nie wszystko z mych wywodów zrozumiała. Zdobyłem jednak jej zaufanie. I to był punkt zwrotny w pracy nad zorganizowaniem uniwersytetu powszechnego" (F. Petruczynik, Uniwersytet Powszechny w Lublinie 1935—1939, „Świetlica" 1957, nr 9).

Oficjalne otwarcie Uniwersytetu Powszechnego im. S. Żeromskiego w Lublinie nastąpiło w listopadzie 1935 r. Jego dyrektorem — pełniącym tę funkcję społecznie, nieprzerwanie do 1939 r. — był Feliks Petruczynik, zaś biblioteką i świetlicą kierował Jan Wierucki, lewicowy działacz społeczny, który niestrudzenie zabiegał o udostępnienie wartościowej książki szerokim kręgom czytelników, nawet spoza grona słuchaczy. Radę Uniwersytetu stanowili kierownicy wydziałów tej placówki, ofiarni działacze oświatowi: dr Stefan Wojciechowski, Józef Tymoszów, Jerzy Kruszewski i Roman Dołek. Słuchacze rekrutowali się głównie ze środowisk robotniczych, blisko połowę z nich stanowili bezrobotni. Od kandydatów wymagano świadectwa ukończenia siedmioklasowej szkoły powszechnej. Liczba słuchaczy nieustannie wzrastała i w roku szkolnym 1936/37 wynosiła 152 osoby, a w roku 1938/39 wzrosła do 217 osób, nie licząc tych, którzy przychodzili na wykłady bez zapisu. Nauka na czterech wydziałach specjalistycznych (matematyczno-przyrodniczy i techniczny, społeczno-ekonomiczny i prawa humanistyczny oraz higieny i wychowania) trwała dwa lata i była bezpłatna. Oprócz wykładów stałych wygłaszano okolicznościowe pogadanki i odczyty na aktualne tematy. Uniwersytet był placówką oświatową o charakterze otwartym, w którym duża liczba osób korzystała z wykładów dorywczo.

„Zasadniczym celem, do którego zmierzał Uniwersytet Powszechny — pisze Petruczynik — było jednak samokształcenie. Bowiem jest rzeczą niemożliwą, by w czasie stosunkowo dosyć krótkim można było dać słuchaczowi widzę w dostatecznie szerokim zakresie. Dlatego też Uniwersytet Powszechny stawiał sobie w założeniu swego działania: obudzenie w słuchaczu pragnienia, głodu wiedzy, danie mu podstawowych wiadomości z interesującej go dziedziny wiedzy i wskazanie dróg, którymi powinien zmierzać, by zdobyć głębsze, bardziej gruntowne wiadomości". Wykłady dla słuchaczy były ściśle powiązane z zajęciami świetlicowymi, pracą kół zainteresowań, samokształceniem i czytelnictwem. Skrupulatnie rozpatrywano i uwzględniano wszelkie życzenia i propozycje uczestników.

Kierownictwo uniwersytetu kładło akcent na sprawy wychowania fizycznego, potrzebę rozrywki i przeżyć artystycznych młodzieży. Zorganizowano sekcję sportową, turystyczno-krajoznawczą i wycieczkową. Wykładowcy razem ze słuchaczami chodzili do teatru oraz zwiedzali ciekawe zabytki miasta. Urządzane były także dalsze wycieczki, na przykład do Krakowa i Gdyni. Słuchacze uczyli się nie tylko myśleć, ale także patrzeć i odczuwać. W uniwersytecie powstał również chór mieszany i chór rewelersów, znany ze swych występów w wielu imprezach własnych i na terenie miasta. Działał także własny zespół muzyczny, a od roku 1937 także zespół dramatyczny. Organizowano okolicznościowe imprezy literackie, wieczory dyskusyjne i koncerty. Wydawano własną gazetkę ścienną. Nieprzerwanie działał samorząd słuchaczy, przejawiający wiele inicjatywy. Prace rozrywkowo-wychowawcze były kontynuowane także w okresie wiosenno-letnim.

A jakie były odczucia samych słuchaczy o ich uczelni, jak ją oceniali i dlaczego w niej zostawali? Oto co pisał robotnik, Jan Nowak, w roku 1938: „Kiedy mi zaproponowano, żebym poszedł na Uniwersytet Powszechny, nie wiedziałem, co to znaczy. Myślałem — Uniwersytet — to coś nie dla robotnika. Nie chciałem tam iść, ale po dłuższej namowie koleżanek i kolegów dałem się — jak to myślałem — oszukać, ale się pomyliłem, bo wchodząc na UP doznałem miłego wrażenia, choć nic jeszcze nie rozumiałem. [...] Przychodząc coraz częściej na wykłady i do świetlicy, dowiedziałem się, że jest chór i inne zespoły. Kiedy mi zaproponowano, abym zapisał się do chóru, to mi aż robotnicze serce zabiło gwałtownie, bo czy jest coś weselszego jak chóralny śpiew. W pierwszych dniach szło mi ciężko, bo nie miałem pojęcia o śpiewie, dopiero po kilku próbach nabrałem wprawy. Pomogły mi w zżyciu się z koleżankami i kolegami zabawy, gry towarzyskie, inscenizacje piosenek ludowych. A kiedy przyjdzie niedziela, to naprawdę wesoło bawimy się, śpiewamy i tańczymy. Uniwersytet Powszechny jest dla mnie tak potrzebny jak chleb i woda. Jak chleb i woda daje mi siły do pracy, tak świetlica i wykłady uczą mnie żyć, postępować, uczą być dla ludzi pogodnym i gotowym toczyć walkę z przeciwnościami szarego, codziennego życia".

Oddajemy jeszcze głos społecznikowi, Feliksowi Petruczynikowi, który u kresu swego pracowitego życia snuł refleksje na temat lubelskiej placówki oświatowej: „Oczywiście nie udałoby się nam zorganizować i rozwijać pracy Uniwersytetu Powszechnego, gdyby jego założenia nie były oparte na podatnym gruncie pragnień i tęsknot, często nawet nieuświadomionych tęsknot młodzieży robotniczej. Bo każde młode pokolenie ma swoje pragnienia i tęsknoty. Trzeba tylko te pragnienia poznać i rozbudzić, a przede wszystkim trzeba tę młodzież uczciwie i serdecznie umiłować".

Wybuch drugiej wojny światowej pokrzyżował plany życiowe Petruczynika. Jako oficer WP brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli niemieckiej i został osadzony w oflagu II C Woldenberg. Do kraju powrócił dopiero w maju 1945 r. i został wybrany wiceprzewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie oraz sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PPS w Lublinie. Z ramienia tej partii w kwietniu 1946 r. został posłem do Krajowej Rady Narodowej i wkrótce skierowany do pracy państwowej i partyjnej w Katowicach. Był członkiem władz naczelnych PPS, a jako delegat tej partii na Kongres Zjednoczeniowy w grudniu 1948 r. został wybrany zastępcą członka Komitetu Centralnego PZPR. W niespełna dwa lata później został posłem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym Rzeczypospolitej Polskiej w Finlandii. Później pełnił odpowiedzialne stanowiska państwowe i społeczne we władzach centralnych w Warszawie. Zmarł 25 października 1958 r. w Warszawie, spoczął na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

KOŁOWRÓT

Andrzej Twerdochlib

JANEK, kierownik produkcji, wyszedł na chwilę, żeby oddać maszynopisy, wrócił teraz. Zadzwonił telefon.

— Twoja żona — powiedział do Stefana Janek. Stefan wziął słuchawkę.

— Tak.

— Dlaczego mi nie powiedziałeś, że będziesz miał wczoraj występ w telewizji?

— Wyleciało mi z głowy.

— Więc przyjmij do wiadomości, że masz dwa kolejne wyroki śmierci. Telefoniczne

— Drobiazg. Jak to wypadło? Sam nie miałem czasu oglądać.

— A co tu mogło wypaść, albo nie wypaść? Migawka i tyle.

— Tylko po to dzwonisz?

— Nie. Wczoraj wieczorem szukał cię telefonicznie Mierzejewski. Znasz go?

— Znam.

— Prosił, żebyś się z nim porozumiał w sprawie jakiegoś scenariusza. Podał swój warszawski telefon.

— Mam jego warszawski telefon. Nie będę dzwonił, wiem, o co mu chodzi, ale po pierwsze on jest filmowiec-grafoman i nikt mu nie da filmu do roboty, po drugie nie mam żadnego scenariusza. Chyba mu nie powiedziałaś, gdzie jestem.

— Nie.

— Ślicznie... Jeszcze nie mam biletu na samolot, zaraz jadę kupić. Zadzwonię wieczorem z hotelu, albo jutro stąd. Była jakaś poczta?

— Nic ważnego. Jakieś zaproszenia.

— No, to tyle — powiedział Stefan. — Ściskam cię.

— Bywaj.

Odłożył słuchawkę, do pokoju zajrzał reżyser Adam. Poszli do barku na pierwszym piętrze. Adam przyniósł dwie duże kawy.

— Wysiadam, bracie... — powiedział. — Koło naszego serialu krąży już lekki smrodek. Oczywiście nikt mi marnego słowa nie powiedział, ale to się czuje. Poza tym zrobiłem przynajmniej pięć poważnych błędów obsadowych.

— Kompletowałeś aktorów w szczytowym okresie bojkotu — rzekł Stefan. — Pamiętam przecież.

— Co to teraz kogo obchodzi... Serial trzech etapów, psia jego mać... Scenariusz pisany przed Sierpniem, skierowanie w osiemdziesiątym pierwszym, zdjęcia zacząłem w trzecim miesiącu stanu wojennego. A teraz kryteria zmieniają się średnio co dwa tygodnie.

— Gadałem już z jedną szyszką w KC — powiedział Stefan. — Obiecał, że w razie czego obejrzy sam i pomoże. Niewykluczone zresztą, że martwimy się na zapas.

— Oby... Znajdź jutro przed południem ze dwie godziny. Chciałbym ci pokazać jeszcze kawałek materiału.

— Dzisiaj załatwię wszystkie swoje sprawy i jutro mogę być tu od ósmej do wieczora. Wieczorem przerobię tę kobylastą scenę w gabinecie sekretarza, przywiozę ci.

— Dobra. — Adam dopił kawę. Stefan zgasił papierosa.

— Będę leciał. Od trzeciej będę w hotelu. Jakby ci coś wpadło do głowy, dzwoń.

— Dobra. Ale wątpię, żeby po szesnastu miesiącach zdjęć coś mi wpadło do głowy.

Adam poszedł na parter. Stefan wyciągnął z kieszeni notes i naszkicował sobie dzisiejszą marszrutę. Popatrzył na zegarek. Było kilka minut po pół do dziesiątej. Powinien się ze wszystkim zmieścić w czterech godzinach. Dopił kawę i poszedł do Janka, żeby mu dał samochód.

— O której odsyłasz?

— Góra o pierwszej.

Dostał ten sam wóz, który wczoraj przywiózł go do wytwórni. Kierowca miał tę zaletę, że nie był gadatliwy. Stefan pomyślał, że Adam wysiada i przyznaje się do tego, a on sam też zaczyna wysiadać, ale nikomu o tym nie mówi. Przeciwnie, nadrabiał miną i udawał człowieka o żelaznych nerwach. Miał wprawdzie gdzieś zapisany roczny plan pracy, ale teraz postanowił sobie, że nie będzie myśleć dalej niż na tydzień. Pomyślał też, że przed wyjazdem z Warszawy kupi litr wódki i urządzą sobie z żoną dwuosobowy bankiet. A potem przez miesiąc pociągnie powieść i skończy słuchowisko, które na dobrą sprawę powinien oddać przed miesiącem. Natychmiast zauważył i odnotował swoją niekonsekwencję. Przed kilkoma sekundami postanowił, że będzie robił plany tylko na najbliższy tydzień.

— Jedźmy do LOT-u na Waryńskiego — powiedział do kierowcy. — Będzie pan mógł łatwiej zaparkować niż przy rotundzie.

— Fakt — powiedział kierowca.

Przy kasach krajowych było zaledwie kilka osób. Sezon się skończył, a ceny biletów nie zachęcały do lotniczych podróży. Stefan kupił bilet na jutro, na przedostatni samolot. Potem pojechali na Hipoteczną do ZAIKS-u. Etap drugi zawierał trzy podpunkty: „słuchowisko", „tantiemy", „Wojtek".

Umowa na przekład słuchowiska w Czechosłowacji była przygotowana. Stefan nawet nie usiadł, podpisał się mazakiem na czterech kopiach.

— Jedna dla pana — powiedziała urzędniczka. Złożył egzemplarz we czworo, schował do aktówki.

— To wszystko?

— U nas tak. Ale niech się pan nie spodziewa szybkich pieniędzy. Oni płacą dopiero po kilku emisjach.

— Wiem. Ja się zresztą nigdy nie spodziewam szybkich pieniędzy. Do widzenia.

Zszedł na pierwsze piętro i uchylił drzwi z napisem: „Proszę wchodzić pojedynczo". Zajrzał i stwierdził, że żadnego interesanta nie ma. W pokoju siedziały dwie miłe panie, całą ścianę zajmował regał z kartotekami, na jednym z biurek stał mikrofon i jakiś supernowoczesny komputerek. Urzędniczka znała Stefana odpowiedziała na jego „dzień dobry", nacisnęła guziczek i powiedziała do mikrofonu:

— Kartotekę krajową pana Stefana Mateckiego poproszę.

Stefan przysiadł na krześle i zwrócił się do drugiej urzędniczki.

— Niech mi pani zdradzi tajemnicę służbową — powiedział. — Przyjaciel mnie prosił, żebym zasięgnął języka. Wojciech Ryszkowski. Spodziewa się jakichś pieniędzy z NRD.

W ciągu kilku sekund znalazła kartotekę.

— Wpłynęły.

Bez zachęty ze strony Stefana szybko przeliczyła coś na kalkulatorku.

— To będzie prawie dwa tysiące marek.

— Ucieszy się. Dziękuję.

W tym czasie odsunęło się okienko za plecami pierwszej urzędniczki i niewidzialna ręka położyła na parapecie duży kartonowy arkusz kartoteki.

— Jest nam pan winien 8 876 złotych.

— Bez groszy?

— Tak się jakoś złożyło.

— Myślałem, że są już tantiemy z radia i telewizji.

— Najwcześniej pod koniec listopada.

— Co się w tym kraju dzieje! — powiedział ze zgrozą Stefan. — Dawniej te sprawy trwały trzy miesiące, a teraz półtora roku.

— P a n mnie się pyta?

Stefan roześmiał się.

— Wiem, że jestem uważany za człowieka ustosunkowanego — powiedział skromnie. — Niektórzy myślą nawet, że mam wpływ na to czy owo. Ale to nieprawda, niech mi pani wierzy.

— Wierzę. Potrzebuje pan pieniędzy? Można załatwić od ręki pięć tysięcy pożyczki dyrekcyjnej.

— Wyglądam na aż tak biednego?

— Nie ale pozory mogą mylić.

— Dziękuję, lecz nie będę brał tej pożyczki. Może się zdarzyć, że za miesiąc bieda przyciśnie i co wtedy?

— Racja. Spodziewa się pan jakichś dewiz?

— Najwcześniej za rok. Nie ma sensu zaglądać do mojej karty KK. Do widzenia paniom i dziękuję.

W holu na parterze wisiał automat telefoniczny. Stefan pogrzebał w kieszeniach i znalazł dwuzłotówkę. Wykręcił numer, zgłosiła się Hanka.

— Brat cię wita. Kaca nie masz?

— Nie mam. Wpadniesz jutro?

— Obowiązkowo.

Pani redaktor Wiktoria Pręgowska dobiegała siedemdziesiątki. Kiedy przed dwoma miesiącami ucieli sobie dłuższą pogawędkę z okazji przyjęcia do druku książki Stefana, powiedziała z dumą, że ćwierć życia poświęciła literaturze dla dzieci. Sama była klasykiem w tym gatunku Stefana traktowała z łagodną pobłażliwością i jak gdyby współczuła, że chce mu się pisywać dla dorosłych. Teraz zmusiła go, żeby usiadł, poczęstowała słomkową herbatką. Siedział sztywno na brzeżku krzesła, bał się zapalić papierosa, a pani Wiktoria zaczęła teoretyzować:

— Specyfika przekazu kulturowego, w którym odbiorcą jest dziecko, polega na tym, iż dokonuje się spontanicznie...

— Kto? — zapytał Stefan.

— Przekaz kulturowy, oczywiście... Dokonuje się więc spontanicznie w sprzyjających warunkach kontaktu psychicznego, jakie stwarza między dzieckiem a dorosłymi, wzmacniany obopólnym czerpaniem satysfakcji z wzajemnej interakcji. Niemniej owa interakcja ma charakter asymetryczny — z przewagą człowieka dorosłego.

— Ma pani całkowitą rację — przytaknął z zapałem Stefan. Ze wstrętem wypił łyk herbaty, do której pani Wiktoria z dobrego serca wrzuciła mu trzy kostki cukru.

— Jednak ten typ interakcji, mimo stopniowego usamodzielniania się układu psychicznego dziecka, przeważa tak długo, aż dziecko osiągnie poziom kompetencji kulturowych i dojrzałości psychicznej umożliwiającej stosunki równorzędnej wymiany z dorosłymi.

— Tak jest — powiedział Stefan i pomyślał, że musi koniecznie sprawdzić w słowniku wyrazów obcych, co znaczy ta cholerna interakcja. — Bardzo panią przepraszam za to najście, ale znalazłem plastyka, który mógłby zrobić dobre ilustracje. Daję za niego głowę. Czy mógłbym dostać jeden egzemplarz tekstu?

— Tak tak... Zaraz to załatwimy.

Zadzwoniła na wewnętrzny numer.

— Koleżanko Janino, mówi Pręgowska... Za chwilę będzie u pani pan Stefan Matecki. Proszę mu wydać jeden egzemplarz jego książki. Tak, dziękuję...

Odłożyła słuchawkę. Stefan wstał z krzesła.

— Ja też dziękuję — powiedział. Wyjął z portfela złożoną karteczkę. — Tutaj jest jego nazwisko i adres. Nie ukrywam, że zależy mu na szybkim podpisaniu umowy.

— Czy on miał już coś wspólnego z twórczością dla dzieci?

— Oczywiście! Prowadzi zajęcia z wychowania plastycznego w dwóch szkołach podstawowych i trzech przedszkolach. Jego wychowankowie zdobyli wiele nagród w okolicznościowych konkursach — łgał Stefan, a pani Wiktoria z uznaniem kiwała głową.

— Trafi pan do pani Janiny? — zapytała. — Pokój siedem.

— Trafię. Bardzo dziękuję i do widzenia.

Szurnął butami, pocałował panią Wiktorię w rękę, wyszedł na korytarz i otarł pot z czoła. W pokoju „siedem" odebrał maszynopis i zbiegł po schodach, jakby go kto gonił. Przyrzekł sobie że dla dzieci nie napisze ani linijki, dopóki grabarz nie przyklepie łopatą pani Wiktorii. Mimo że twórczość dla dzieci bardzo się opłaca.

W taksówce odfajkował punkt: „Wydawnictwo" i kazał się zawieźć na Wiejską. Mieściła się tam redakcja tygodnika, w którym czasami drukował jakieś publicystyczne teksty. Sekretarka była piękną kobietą, nie przekroczyła trzydziestki i jej widok po wizycie u pani Wiktorii był jak źródlana woda.

— Naczelny jest w Moskwie — powiedziała — Wraca za trzy dni.

— Nie szkodzi, właściwie zaszedłem przypadkiem.

Otworzył aktówkę, wyjął średnią kopertę.

— Fragment powieści przyjętej do druku — powiedział. — W środku jest karteczka do szefa. Kiedy i gdzie ukaże się książka. Jak zechce przeczytać i uzna, że warto to u was wydrukować, będę wdzięczny.

— Oddam, kiedy tylko wróci — powiedziała sekretarka. W tym momencie otworzyły się obite skórą drzwi i ukazał się w nich sekretarz redakcji, Miecio Duraj. Mimo wczesnej pory był już na niezłym gazie.

— O Stefan... — powiedział radośnie. — Zajdź na chwilę.

Chcąc nie chcąc Stefan wszedł do gabinetu.

— Siadaj — powiedział Miecio. — Walniesz kielicha?

— Malutkiego.

Wypili po kieliszku czystej. Stefan poczęstował Miecia papierosem.

— Słuchaj... — powiedział. — Nie wiesz przypadkiem, co to znaczy „interakcja"?

— Nie wiem. Nie masz większych zmartwień?

— Gnębi mnie to.

— Jak cię gnębi, to sprawdzimy — rzekł Miecio i znalazł na regale słownik wyrazów obcych. Kartkował przez chwilę, potem popatrzył na Stefana ze smutkiem.

— Nie ma — powiedział. — Jest wersalikami „INTER" i dalej: w złożeniach między, śród, wzajemny, współ, wewnątrz. Jesteś z tego mądrzejszy?

— Międzyakcja — powiedział Stefan. — Też znaczy wielkie gówno. Ale dzięki. Słuchaj, zostawiłem w sekretariacie fragment powieści. Dziesięć stron.

— Dobra. Ale nie będę czytał, bo i tak nic nie mogę zrobić bez naczelnego.

— Co on robi w Moskwie?

— Podtrzymuje braterskie kontakty. A tak naprawdę, to pojechał po kolorowy telewizor. Coś mu tam przetłumaczyli, załapał ruble. Widziałem cię wczoraj w telewizji. Albo może mi się tylko śniło? Zalany byłem wieczorem.

— Musiało ci się śnić.

— Coś w tym jest — powiedział z zadumą Miecio. — Śnisz mi się w nocy, a następnego dnia objawiasz się fizycznie. Hm...

— Będę już leciał — powiedział Stefan. — Mam pracowity dzień.

— Twoja pracowitość jest legendarna. Jeszcze po jednym?

— Dziękuję... Trzymaj się, Mieciu...

(Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku).

„Okręt" w Teatrze im. Osterwy

POWSTAŁY w 1954 roku Studencki Teatr Satyryków w Warszawie, w latach sześćdziesiątych począł stawać się już mniej agresywny, nieco ugrzeczniony, mniej publicystyczny, choć wciąż miał ambicje zabierania głosu w ważnych sprawach swojej współczesności, dopisywania własnych komentarzy do rodzącej się epoki małej stabilizacji. I wówczas właśnie, w roku 1960, po próbach studiowania w PWST na wydziale aktorskim, trafił do STS-u Stanisław Tym. Najpierw jako aktor, a wkrótce autor satyrycznych tekstów. Jako dramaturg debiutował Tym w STS-ie w roku 1966, moralistyczną komedią „Poczta się nie myli".

W twórczości Tyma, od pierwszych sztuk poczynając, obecny był stale absurd naszej rzeczywistości, czasem rodzący się mimo woli, jakby niezamierzenie, bo Tym pokazuje po prostu polską codzienność, jest doskonałym obserwatorem. Opowiada właściwie o tym, że nasza absurdalna i czasem aż nieprawdopodobna rzeczywistość — to przecież wielki, gorzki śmiech. I kiedy spotykamy się z dramaturgią Tyma, rodzą się przede wszystkim pytania: ileż to już lat śmiejemy się z samych siebie, z życia, w którym tkwimy, i z tego, że znowu mydła zabrakło, albo mleka nie dowieźli, że urzędy i instytucje, i rozmaite ważne stanowiska zapełnione są głupcami, którzy mnożą absurdy codzienności.

Zanurzona głęboko w tych problemach jest sztuka „Rozmowy przy wycinaniu lasu", najlepsza chyba w dorobku Tyma, napisana w 1974 roku dla kierowanego przez Edwarda Dziewońskiego Teatru Kwadrat. Najprościej mówiąc: dramat opowiada o tym, jak myślą i co czują robotnicy zatrudnieni przy wycinaniu lasu, ale także pokazuje proces „ekonomiczny" wycinania lasu. Tekst wypełniony jest sprawami i problemami typowymi dla „mocarstwowej" epoki gierkowskiej, ale i dzisiaj pozostaje nadal aktualny. No, bo Tym opowiada historię taką: wycina się las, żeby na tym miejscu posiać kapustę. Za sprawą kapusty okolica zapełni się zającami, które, wedle planu, będą jeść nie tylko kapustę, ale także mają, w miejscowym gospodarstwie, obgryzać korę z drzew owocowych. Sady wówczas szybko wymrą i nie będzie kłopotów ze zbiorem i dostarczaniem owoców do skupu. Już w takim zapisie fabularnym widać przecież, że Stanisław Tym jest doskonałym satyrykiem, tropicielem bezsensu i wszelkiego głupstwa, choć wie pewnie, iż głupstwa, raz zaszczepionego, nie da się łatwo wykorzenić.

Tym nie pisze sztuk będących wyłącznie tekstami aluzyjno-publicystycznymi. Są to przede wszystkim dramaty o dobrze zbudowanych dialogach, pełnych dowcipu, wydobywających kształt, atmosferę i semantykę przedstawianego świata. Buduje postaci sceniczne pełne, nie papierowe, mocno osadzone w rzeczywistości. Bohaterowie Tyma to ludzie mali i żałośni przez swą niewiedzę i głupie, beznadziejne nadzieje i oczekiwania. Autor otacza ich jednak nie atmosferą pogardliwego śmiechu, ale raczej współczucia, czy przynajmniej chęci zrozumienia ich życia. Wszystkie zaś dowcipy i śmieszności opisują i definiują świat zewnętrzny bohaterów, aczkolwiek określają też źródła ich myślenia.

Tak jest w „Rozmowach przy wycinaniu lasu" i w późniejszym o całą dekadę „Okręcie" (druk w „Dialogu", 1984, nr 12), biorącym zamysł fabularny z „Rozmów..." Są tu ci sami drwale: Macuga, Bimber, Zyzol i Siekierowy. Ale czas zdarzeń został przemieszczony w przyszłość. Las dawno już wycięto, pozostało tylko jedno drzewo, jagielloński modrzew — pomnik przyrody, który w końcu także zostanie ścięty za sprawą dyrektora, profesora, ważnych pism, a więc tzw. czynników. A potem na tym miejscu powstanie „pomnik dla upamiętnienia pomnika przyrody, który stał w tym miejscu". I cóż na to wszystko drwale? Ano siedzą w lesie, którego już nie ma, pogadują, a chwilami te ich dialogi „przy siedzeniu" przypominają rozmowy chłopów z „Indyka" Mrożka — leniwe, rozciągnięte, wypełnione mądrością i wiedzą o świecie absurdalnym, którego zmienić już nie można. Chociaż właściwie u Tyma wpisana jest jeszcze w te rozmowy nadzieja — marzenie o okręcie; można nim przecież gdzieś popłynąć, uciec od świata, w którym się żyje. Bo drwale w sztuce Tyma, te duże dzieci, wierzą pewnie, że choć zniszczono wszystkie rezerwaty przyrody, to istnieją jeszcze gdzieś rezerwaty szczęścia, wolne od bezsensu i wszechpanującego głupstwa.

Te wiary i wyobrażenia budowane są w wyobraźni drwali także za sprawą literatury. Jeden z nich, Bimber, wygrał czytelniczy konkurs, przeczytał — jak mawiają drwale — wszystkie książki.

Na zdjęciu: Włodzimierz Matuszak (Zyzol), Włodzimierz Wiszniewski (Macuga), Jan Parandyk (Dunlop), Marek Milczarczyk (Janek).

Fot. Zbigniew Jaśkiewicz

W „Rozmowach przy wycinaniu lasu" intelektualista Bimber liczył trupy w „Hamlecie" i w „Zbrodni i karze". W „Okręcie" Bimber opromienia wyobraźnie drwali swą wiedzą z zakresu romantyzmu. Lektury Bimbra — „Ballady" Mickiewicza, Puszkina — nakładają się na wspomnienia okupacyjne, tworząc obrazy, widzenia, świat wyimaginowany, z którym przynajmniej można porównywać albo utożsamiać własny świat, o ileż uboższy, wyznaczany rytmem odwiedzin Siekierowego i jego opowieściami o córce Joasi, co kształci się w mieście u ekspertów.

Echa literackiej edukacji Bimbra przywołują także wiersz najwybitniejszego poety STS-u, Witolda Dąbrowskiego, a więc pojawiają się jakieś strzępy ideologii STS-u. I zainteresowanie Tyma kulturą i mądrością ludową, obecne w „Okręcie", bierze swój rodowód z takich fascynacji, właściwych tej grupie. „Byłby więc »Okręt« — pyta Jacek Sieradzki („Dialog" 1984, nr 12) — hołdem złożonym STS-owi? Jeżeli tak, jest to hołd niezwykły: nie łzawo-nostalgiczny, lecz afirmujący ideały górnej i chmurnej młodości. Afirmacja to poniekąd rozpaczliwa, całkowicie przeniesiona w sferę wyobraźni, oderwana od życia codziennego, pełnego absurdów. Ale dzięki temu jest to afirmacja bezwzględna [...], afirmacja niemal naiwna, bez obawy o śmieszność, o niemęskość, o kompromitację".

* * *

„Okręt" Stanisława Tyma wystawił na rozpoczęcie swojej dyrekcji w Teatrze im. Osterwy Andrzej Rozhin. Rozhin, twórca znakomitego podobno — jeśli wierzyć starcom i ówczesnym krytykom — teatru „Gong 2", po wielu latach dyrektorsko - reżyserskich sukcesów i porażek w teatrach Gorzowa, Koszalina i wreszcie w Szczecinie, wiosną tego roku powrócił do Lublina. Prasa lubelska („Kamena" także) powitała twórcę entuzjastycznie, serią wywiadów, w których znalazło się mnóstwo zapowiedzi, obietnic, opowieści o planach, zamierzeniach, z czego należałoby wnosić, że zacznie się w Lublinie wspaniały teatr, najlepsze przedstawienia, bogate życie teatralne... Wypada wierzyć, że na pewno tak będzie... Ale pamiętam, że kiedy jesienią 1980 roku rozpoczynał dyrekcję Ignacy Gogolewski, ton i atmosfera zapowiedzi i planów były tak samo entuzjastyczne i obiecujące, a potem okazało się, że czasy są trudne, że... Poprzestanę na tym. Właściwie nie interesują mnie artystyczne deklaracje twórców, interesuje mnie raczej to, co oglądam na scenie, jakość i wartość repertuaru, i waga jego scenicznych realizacji. Interesuje mnie w końcu to, czy wybór teatru — w zakresie repertuaru, form i środków teatralnych — koresponduje z oczekiwaniami widowni, jej emocjami i tęsknotami.

Oglądam „Okręt" i cóż? Na widowni „dziurawy komplet", trochę młodzieży. Spektakl wyreżyserowany „po tekście", bez żadnego istotnego pomysłu na przedstawienie. Wprawdzie „obudowany" pomysłami plastycznymi Jerzego Michalaka, ale nie decyduje to o niczym. I jeszcze pojawia się próba „aktualizacji", niedobrej, zupełnie niepotrzebnej; w rozmowach drwali o gazecie (początek aktu III) w tekście Janka zamiast „azety Współczesnej" pojawia się treść taka: „»Kamena« też dobra. Nie, Macuga?". I po co?

Dowcip dialogów Tyma został przesadnie rozdmuchany, choć, trzeba przyznać, że chwilami grawituje we właściwym kierunku, zbliżając się ku gorzkiej adumie. Ale to tylko tyle. Postaci sceniczne, tak dobrze napisane przez Tyma, zostały ledwie zarysowane. Aktorzy wypowiadają dialogi, ale nie budują postaci, jakby niezupełnie wiedzieli, co grają. Jedynie Włodzimierz Wiszniewski jako Macuga i Jan Parandyk w roli Dunlopa tworzą postaci twardych ludzi, wypełnione chłopskim uporem i dumą, a także swoistą ludową mądrością.

Można by, oczywiście, szczegółowo opowiadać o pęknięciach i zaułkach tego przedstawienia, o tym, co powinno być i wyreżyserowane, i zagrane inaczej, lepiej. Jak? Na to pytanie może odpowiadać tylko sam teatr, nikt inny. Ale teatr powinien wiedzieć, że to, za czym widz tęskni naprawdę, nazywa się... może po prostu — rzetelnością. A teatr rzetelny to taki teatr, który chce i umie mówić o trudnych prawdach swojego czasu i mówi o tym słowem poprawnie artykułowanym, nie bełkotliwym i gestem sprawnym. Tylko tyle.

Lidia Wójcik

Teatr im. Juliusza Osterwy w Lublinie — „OKRĘT" Stanisława Tyma. Reż.: Andrzej Rozhin, scen.: Jerzy Michalak, muz.: Mieczysław Mazurek. Prapremiera 26 października 1985 r.

Henryk Szylkin

CZŁOWIEK

Na pobojowisku zbutwiałych idei
licznikiem mózgu kalkulując każdy dzień
przekrada się chyłkiem przez dwudziestu wi-

Słyszy tylko swój głos
dostrzega tylko pieniądze

Z baloników jego słów
układają się obłoki mitów
by później na kolumnach gazet
zabłysnąć obrazem ziemi
rogami szatanów zoranej

Kiedy przypomni mu serce o miłości bliźniego
kiedy podniecany uśmiechem nienawiści
przestanie pić brudną wodę
ze źródeł kłamstwa i gniewu

W obłędnej godzinie historii
biczując się rózgą samozniszczenia
buduje cmentarze — giganty
jak przestrzeń bez horyzontów i kwiatów

Zafascynowana śmierć
spogląda z ukosa
i z dnia na dzień
podnosi mu rachunek

*

* *

Odejdźmy od myśli
co potrafią tylko stawiać tragiczne pytania
zamieniać się w bezsenność gorzką
i ból
podobny do samobójstwa

Jutrzejszego dnia
nie zmieni myślenie
choć może upodobnić ziemię
do zgłodniałej bestii

Heroldowie świata
drwią z niewiadomej jutra
wyciskając przedśmiertelny pot
z tych
co myślą o łatwopalnych domach
lecz nie mogą zmienić historii

POTRZASK

Przestrzegają przed pustynią
gdzie nawet kaktus nie wyrośnie
grożą cmentarzyskiem ryb pośród zgorzkniałej
wody

i poczerniałych kielichów grażeli
z popiołem jarzębin i sosen

Przypominają o bakteriach
zamkniętych w puszkach pandory
piszą o głodzie wcielonym w miliony matek
i dzieci

pokazują rakiety wycelowane we mnie
straszą pomarańczowym deszczem
niepokoją laserem
i jeszcze mówią że serce moje
podejrzanie bić zaczyna
a oczy widzą co nie trzeba

Ekran i widz

Ballada o Budionnym

PODCZAS tegorocznych, tradycyjnie — listopadowych, już 39 z kolei Dni Filmu Radzieckiego mieliśmy możność obejrzenia dziesięciu filmów powstałych w wytwórniach ZSRR. W Lublinie Dni Filmu Radzieckiego otworzyła premiera „Pierwszej Konnej" Władimira Lubomudrowa.

Szerokoekranowy, barwny film nawiązuje do dziejów słynnej Armii Konnej, dowodzonej przez Siemiona Budionnego w latach rosyjskiej wojny domowej 1918—1920, do jej zażartych bojów z kozakami atamana Krasnowa i wojskami generała Denikina. Wtedy już zaczęła się kształtować legenda „Konarmii" i jej niezwykłego dowódcy, legenda, która jest żywa w Związku Radzieckim po dziś dzień. Zresztą nie tylko tam: prawda o ludziach, którzy walczyli w szeregach Pierwszej Konnej, znalazła swoje artystyczne odbicie na kartach wspaniałych opowiadań Izaaka Babla, przetłumaczonych na wiele języków świata.

W Związku Radzieckim niejeden raz sięgano w filmie do historii kawalerii Budionnego. Po raz pierwszy uczynił to Iwan Perestiani, kręcąc w 1923 r. swe słynne „Czerwone diabłęta". Nigdy dotąd nie nakręcono jednak filmu o Budionnym z takim rozmachem i przy takim nakładzie środków, jak to uczynił Władimir Lubomudrow. Dopiero na szerokim ekranie, przy wykorzystaniu najnowszych osiągnięć techniki zdjęciowej, można było pokazać w efektowny sposób zmagania ogromnych mas kawalerii, pokusić się o oddanie „poezji" i romantyki tamtych czasów i tamtych bitew. Lubomudrow zdecydował się na zrobienie wielkiego filmu widowiskowego, który miałby zarazem charakter ballady czy też swoistego eposu rycerskiego...

Legendarność postaci dowódcy Armii Konnej sama podpowiadała „poetycki" sposób podejścia do tematu. Siemion Budionny w czasach wojny domowej był już mężczyzną dojrzałym, o znakomitej przeszłości bojowej i wielkim doświadczeniu wojennym. Urodzony w 1883 r., z wojskiem związany był na stałe (jako kawalerzysta) od roku 1903. Uczestniczył w wojnie rosyjsko-japońskiej, walczył na frontach I wojny światowej. Dosłużył się rangi wachmistrza. Za męstwo na polu walki był czterokrotnie odznaczony Krzyżem Św. Jerzego. W czasie Rewolucji Październikowej opowiedział się po stronie bolszewików. Rozpoczynał jako dowódca oddziału jazdy, aby wkrótce stanąć na czele uformowanej latem 1918 r. Zbiorczej Dywizji Kawalerii, która przekształciła cię w Korpus Konny. Zacięte, wielokrotne walki pod Carycynem z kozakami Krasnowa i generała Mamontowa, bitwy, które niejednokrotnie miały wpływ na losy „czerwonego" frontu południowego w latach 1918—1919, ustaliły pozycję Budionnego jako zagończyka, ale zarazem urodzonego stratega. Był przy tym wszystkim Budionny — jak na kawalerzystę przystało — postacią barwną, o bujnym temperamencie i niełatwym charakterze.

Władimir Lubomudrow stara się ukazać taką właśnie sylwetkę Siemiona Budionnego. Ale pokazuje także trudny proces przekształcania się „stepowego orła" w dowódcę stabilizującej się, regularnej Armii Czerwonej. Od września 1918 r. poszczególne „czerwone" oddziały zaczęto łączyć w brygady, dywizje i armie, powstawała zorganizowana siła militarna Republiki Rad. Na froncie południowym trwały ciężkie walki z rosnącymi w siłę wojskami generała Denikina. 12 września 1919 r. ruszyła największa ofensywa Denikina — na północ w kierunku Tuły — której powodzenie otworzyłoby „białym" drogę na Moskwę. Armia Czerwona była w odwrocie. W takiej sytuacji, 11 października 1919 r. dowództwo radzieckie frontu południowego powierzono generałowi Jegorowowi. I właśnie „dialogowi": Budionny — Jegorow, poświęca wiele miejsca w swoim filmie Władimir Lubomudrow. Budionny w owym starciu dwóch racji reprezentuje „wicher rewolucji", Jegorow — postawę przedstawiciela młodej, opartej na dyscyplinie i precyzji działania, dążącej do nowoczesności, armii.

Oczywiście, nie byłoby filmu o nachyleniu „romantycznym", gdyby Lubomudrow nie przyznał wielu racji także dowódcy Armii Konnej, który kieruje się tutaj bardziej własnym instynktem i własnym doświadczeniem wojennym, niż wierzy taktycznym spekulacjom sztabowców. Nie byłoby efektownej bitwy i zwycięstwa wieńczącego film. Jednak widz, mimo to, pozostaje pod wrażeniem, że oglądał oto przełomowy moment w dziejach zarówno Armii Konnej, jak i młodej Armii Czerwonej.

„Pierwsza Konna" ukazuje jeden dzień i jedną noc z życia kawalerii Budionnego: odwrót zmęczonych bojami oddziałów, odpoczynek, noc spędzona w oczekiwaniu na bój z przeważającymi siłami wroga, i wreszcie poranek — bitwę z nieprzyjacielem. Lubomudrow nie określa dokładnie czasu ani miejsca akcji. Można się tylko domyślać, że zainspirowały go walki Budionnego pod Woroneżem w drugiej połowie października 1919 r., w okresie tzw. operacji orłowsko-kromskiej, mającej być odpowiedzią wojsk radzieckich na działania ofensywy Denikina. Ale też trzeba pamiętać, że nie dowodził wówczas jeszcze Budionny Armią Konną. Jego Korpus Konny zaczął przekształcać się w Armię Konną dopiero począwszy od 19 listopada 1919 r.

Tak więc filmowej „ballady o Budionnym" nie należy rozpatrywać jako obrazu historycznego, ale raczej inspirującego do zapoznania się z historią rosyjskiej wojny domowej i z dziejami Armii Konnej. A także — do sięgnięcia na biblioteczną półkę po prozę „czerwonego kawalerzysty", Izaaka Babla. No a poza tym, szczególnie dla miłośników kawalerii, „Pierwsza Konna" będzie przeżyciem ze względu na obfitość wspaniale fotografowanych scen bitewnych z udziałem ludzi i koni.

Na zakończenie warto poświęcić kilka słów dalszemu okresowi życia Siemiona Budionnego. Od 1924 r. sprawował on funkcję dowódcy kawalerii Armii Radzieckiej. W latach 1937 — 1939 był dowódcą Moskiewskiego Okręgu Wojskowego; w latach 1939 — 1940 I zastępcą ludowego komisarza obrony. Po napaści Niemiec na Związek Radziecki został dowódcą Kierunku Południowo-Zachodniego oraz (w czasie bitwy pod Moskwą) dowódcą Frontu Odwodowego. Potem m. in. dowodził Frontem Północnokaukaskim. W 1943 r. znów wrócił do kawalerii, mianowano go jej naczelnym dowódcą. Od 1953 r. działał jako inspektor kawalerii Ministerstwa Obrony ZSRR.

Pomiędzy 1958 r. a 1973 r. ukazały się trzy kolejne tomy jego wspomnień, zatytułowane „Projdionnyj put" („Przebyta droga"). I w tymże roku 1973, po przebyciu bardzo długiej, dziewięćdziesięcioletniej drogi życiowej, Siemion Budionny, słynny kawalerzysta, człowiek-legenda, marszałek Związku Radzieckiego oraz jego Bohater — umarł.

M. D.

Bryczki z zamojskiego traktu

Marta Denys

KIEDY sprzedana została jedyna z ocalałych po wojennej zawierusze kareta i sanie, na zawsze ucichł turkot wyjeżdżających stąd powozów. Kamieniczka przy dawnej Zamojskiej — dzisiaj Buczka 16 — cofnęła się bardziej w głąb podwórka. Opustoszały warsztaty i wozownia. Bo i któż by w dobie szalonej motoryzacji zamawiał jeszcze bryczki, karety i wolanty?

Istniejąca tu pół wieku prawie Fabryka Powozów i Bryczek pana Stefana Gąsiorowskiego słynęła z roboty solidnej i punktualnej, oferując ciekawy wybór pojazdów oraz ich naprawę i renowację. Tudzież części i akcesoria. Słowem: produkcja — sprzedaż — serwis, wszystko to w skromnej, dwupiętrowej kamieniczce przy zamojskim trakcie. W Lublinie działała jednakże konkurencja większych i mniejszych fabryk i warsztatów powoźniczych: Zielińskiego przy Bernardyńskiej, Kopczyńskiego przy Świętoduskiej, Krajewskiego na Czwartku, Wysockiego na Ruskiej, Mazurkiewicza i Materki na Początkowskiej, Janocińskiego na Miłej, i jeszcze kilka innych tej branży. Lecz niewiele z nich wybić mogło na firmowych drukach medale zdobyte na krajowych i zagranicznych wystawach za jakość swojej produkcji, co nie znaczy, iż dobrej marki nie posiadały. W 1911 roku pan Stefan Gąsiorowski przywiózł z wystawy w Rostowie nad Donem duży złoty medal za „wytwornie wykończone okazy". Za swoją produkcję powozów i bryczek otrzymał był jeszcze kilka zaszczytnych dla firmy nagród.

Swoją fabrykę przy dawnej ulicy Zamojskiej założył na początku XX wieku, mając już pewne doświadczenie i rodzinną poniekąd tradycję. Jego stryj — Stanisław — już od 1860 roku przy ul. Początkowskiej (obecnie Staszica) produkował m. in. karety miejskie, landa, faetony, linijki, bryczki i sanie. Prawdopodobnie ze stryjowej to fabryki pochodzi powóz zakupiony o wiele dziesiątek lat później przez Muzeum w Łańcucie.

W nowych więc warsztatach przy zamojskim trakcie ruszyła pod okiem pana Stefana Gąsiorowskiego robota, żeby tak powiedzieć — z kopyta. Bryczki i powozy były wspólnym dziełem stelmacha, kowala, siodlarza (tapicera) i lakiernika. Zamówień było sporo. Przedwojenni, sprzed „tamtej" jeszcze wojny, przemysłowcy i ziemianie nabywali bryczki i inne lekkie powozy, odpowiednie do inspekcjonowania swoich włości i posiadłości. Po Lublinie kursowały dorożki i omnibusy, oczywiście konne, póki je nie wyparły automobile. Zimą popyt był na sanie.

Z bryczek firma pana Stefana Gąsiorowskiego polecała: „korcówki" za 230 rubli, bryczki wolantowe za 250 rubli (jeśli były na werku drewnianym i na żelaznych kołach, to za 200 rubli, a jeśli jesionowe na amerykańskich resorach z „przekładanemi kozłami", to właśnie za 250 rubli). Zresztą odmian bryczek w ówczesnym ruchu kołowym było wiele. Każdy region lansował swój typ, zgodny z lokalnymi warunkami, potrzebami, modą. Ten, najbardziej typowy z polskich pojazdów, wymyślony w XVIII wieku przez naszego rodaka, przyjęła cała Europa, „mocując" się nieco z pisownią: „Britchka czy Britzchka"? A chodziło przecież o wiejski pojazd, odkryty, czterokołowy, o dwóch siedzeniach; lub w wersji podróżnej — z rozkładanym łóżkiem i budą.

Wracając do ofert pana Gąsiorowskiego — tanie były linijki, pojazdy akuratne do objeżdżania pól i lasów, proste w konstrukcji, czterokołowe, i z jednym, długim, pod „linijkę" siedzeniem. Kosztowały 140 rubli tylko. Dwukółkę na gumach nabyć można było w cenie od 150 do 220 rubli; na żelaznych kołach z budą — już za 350 rubli. „Gabryolet z lokajzycem" był za 140 rubli, ale już kareta podwójna na żelaznych kołach ceniona była za rubli 750. Drogie było lando, czteroosobowe z dwoma rozkładającymi się budami, na żelaznych kołach — w cenie rubli 900, omnibusy 8-osobowe za 650 rubli. Coś z sań? Petersburskie z fartuchem niedźwiedzim 200—300 rubli, „warszawskie z powozowem wykończeniem" za 250 rubelków, wołyńskie — 150, a jesionowe warszawskie za 250 rubli. Latarnie do powozów cenione były od 6 do 40 rubli.

Po wyschnięciu lakieru powozy opuszczały fabrykę. Ile ich tutaj wyprodukowano, nikt już dzisiaj nie odtworzy tych danych. W latach dwudziestych jeden z przyjaciół państwa Gąsiorowskich natrafił na bryczkę z zamojskiego traktu aż... na dalekiej Syberii. W legendzie zaś rodzinnej przekazywana była wieść, jakoby stryjowa bryczka „zajechać" miała na Kamczatkę.

Produkcja bryczek i powozów rozwijała się korzystnie, pan Stefan Gąsiorowski snuł plany co do rozbudowy kamieniczki i warsztatów. Wszystko to pokrzyżował wybuch I wojny światowej. Wojska carskie opuszczając później Lublin, konfiskowały wszelkie wyroby z metali kolorowych. Wieża Trynitarska straciła wtedy „Jana", „Rafała", i „Gabriela" — swoje piękne i wielkie dzwony. Z wozowni pana Gąsiorowskiego wyprowadzonych zostało 14 nowiutkich powozów. Rzemieślnicy z Zamojskiej i Przemysłowej „dzielili Europę", każdy politykował na swój sposób i wedle swojej wyobraźni o tej przyszłej Niepodległej. U „Semadeniego" (obecnie kawiarnia „Regionalna") debatowali przemysłowcy, u „Rutkowskiego" (dzisiejsza kawiarnia „Lublinianka") — ziemianie. A kiedy wróciła Polska, z fabryczki pana Gąsiorowskiego wychodzić znów zaczęły nowe, pachnące lakierem eleganckie ekwipaże i pojazdy. I jak dawniej, można było regulować zegarki według breku z cukrowni, który rano wiózł uczniów do szkoły. A robotnicy „od Gąsiorowskiego", znów przedwojennym zwyczajem, gościli się i odprowadzali na cmentarze. Dom państwa Gąsiorowskich odwiedzali przemysłowcy z sąsiedztwa, a pan Stefan „uśmiechał się do wszystkich swoimi dobrymi oczami", jak wspomina go po latach jego córka, pani Krystyna Deptułowa.

Wybuch II wojny światowej znów ogołocił wozownię i warsztaty. Nie ostał się też żaden z koni, których bywało tu nawet pięć sztuk, nabywanych na targach w Łęcznej. Wojnę i okupację „przeżyły" wspomniane już kareta i sanie. Po śmierci pana Stefana Gąsiorowskiego w 1947 roku zostały sprzedane. Zamknął się jeden z rozdziałów dawnego lubelskiego przemysłu budowy powozów. Poza Łańcutem jeszcze jeden z powozów firmy Stefana Gąsiorowskiego znalazł swoje godne miejsce w muzeum starych pojazdów w Olsztynie. Jest to tzw. amerykanka — lekki, czterokołowy pojazd bez budy, z „rodziny" bryczek o kanciastych kształtach, z początku XX wieku. Na drogach, które ją tam przywiodły, dawno już opadł pył. Konie żywe zastąpiły mechaniczne.

W materiale korzystano z książki Teresy Żurawskiej: Polskie powozy, „Ossolineum" 1962.

„Shoah" i inne

Wiesław Horabik

NIEDAWNA projekcja w naszej TV fragmentów francuskiego filmu „Shoah" zakończyła się dyskusją w studio, w której wiele powiedziano o samym filmie, jak i skomplikowanej materii stosunków polsko-żydowskich, szczególnie w okresie okupacji hitlerowskiej. W moim przekonaniu, dyskusja ta pozostawiła jednak pewien niedosyt. Pominęła mianowicie niezwykłą nośność stereotypów w tzw. kwestii żydowskiej, przetworzonych na głośne, często nawet wybitne dzieła sztuki. Należałoby tu wziąć pod uwagę długą serię publikacji książkowych i produkcji filmowych na ten temat, jakie ukazały się ostatnio na rynku zachodnim i zyskały ogromny rozgłos, oraz fakt, że większość prasy zachodniej, zwłaszcza angielskiej i amerykańskiej, znajduje się w rękach ludzi pochodzenia żydowskiego. Wpływ tego lobby na kształtowanie opinii publicznej jest ogromny, a implikacje stąd płynące — bardzo dalekosiężne.

Do najgłośniejszych na świecie produkcji utrwalających stereotyp Polaka-antysemity należy chyba książka Geralda Greena „Holocaust". Niemal natychmiast po napisaniu została przetworzona na serial filmowy pod tym samym tytułem i emitowana w szerokiej sieci najbardziej wpływowych koncernów telewizyjnych na Zachodzie. O serialu pisano i u nas, a nawet redaktor Głąbiński przedstawił w korespondencji z Nowego Jorku jego fragment. Zobaczyliśmy wtedy scenę egzekucji żydowskich dzieci, które przekroczyły mury getta w poszukiwaniu pożywienia i zostały schwytane — egzekucji dokonanej skwapliwie przez polską policję granatową, albowiem zdjęci litością SS-mani wykonania jej odmówili. Ponieważ sprawa filmu, a co za tym idzie i książki, była dość szeroko komentowana, ograniczę się tylko do przypomnienia podstawowych faktów. Są w tej książce opisy dobijania przez okolicznych chłopów, uciekinierów z obozu zagłady w Sobiborze; są denuncjacje na gestapo i czynny współudział Polaków w prześladowaniach Żydów. Jest i taki opis fragmentu powstania w warszawskim getcie:

„Jednym z najbardziej odrażających aspektów całej walki byli Polacy, którzy ustawili się przed bramą getta, wznosząc radosne okrzyki i klaszcząc, kiedy żydowscy mężczyźni i kobiety, płonąc i paląc się żywcem w budynkach, wyskakiwali z okien.

— Jeszcze jeden! — krzyczeli wtedy.

— I jeszcze jeden!"

Serial miał ogromną, wielomilionową widownię. Książka wielusettysięczny nakład. Gerald Green nie jest pisarzem drugorzędnym. Jest autorem głośnej w Anglii książki „Lotus Eaters" („Zjadacze lotosu") i kilku innych. W życiu kulturalnym tego kraju zajmuje wysoką pozycję. Nic więc dziwnego, że stereotyp przez niego utrwalony musiał zapaść głęboko w świadomość odbiorców.

Zdecydowanie większym jeszcze rozgłosem cieszyła się książka wybitnego amerykańskiego autora, Williama Styrona „Sophie's Choice" („Wybór Zofii"). I ona także, tuż po ukazaniu się, została przeniesiona na ekran (tym razem szeroki) i wkrótce potem uhonorowana kilkoma Oscarami, m. in. dla Meryl Streep za najlepszą rolę kobiecą. W istocie, to właśnie ten film ją wylansował. Sama książka zaś utrzymywała się na pierwszym miejscu amerykańskich list bestsellerów przez wiele miesięcy.

William Styron to pisarz bardzo wybitny, nie zawahałbym się powiedzieć — wielki. Autor „Pogrążyć się w mroku", „Długiego marszu" czy „Wyznań Nata Turnera" dociekliwy poszukiwacz ducha amerykańskiego Południa i skomplikowanych procesów historyczno-społecznych tego regionu. I nagle podjął on temat tak odległy od głównego nurtu swojej twórczości. To fakt, że przedstawił go przez pryzmat młodego pisarza z Georgii, lecz głównym wątkiem powieści pozostaje obłąkana miłość między amerykańskim Żydem — Nathanem, a Polką — Zofią Zawistowską, która przeżyła Oświęcim i po wojnie trafiła do USA. Styron przez wiele miesięcy przebywał w Polsce, badał fakty i studiował dokumenty. Zawarł w swej powieści dosyć wnikliwy obraz nazizmu, utrwalił jednak także interesujący nas tutaj stereotyp tak silnie, jak chyba nikt przed nim. Wyposażył swych bohaterów w emocje gwałtowne i krańcowe; Nathana — w płonący humanitaryzm, Zofię — w brzemię wojującego antysemityzmu. W paroksyzmach gniewu i frustracji Nathan tak wykrzykuje do Zofii: „Ty parszywa polska świnio, dobijasz mnie, jak twoje parszywe polskie świnie zawsze dobijały Żydów!". Zofia ukształtowana przez Styrona przyznaje, że istniały w Polsce przedwojennej getta i że aryjscy więźniowie Oświęcimia pomagali w eksterminacji Żydów w Brzezince. Przytaczanie obszernych fragmentów książki ilustrujących ten obraz wydaje się bezcelowe. Sugestywność jednak tego utworu i nośność zawartych w nim idei jest znakomitym przykładem omawianego tu zagadnienia. Nie zmieni tu nic nawet odautorskie wyznanie Styrona, który w przedmowie pisze: „Polacy, w niezliczonych przypadkach, w bliskiej i dalekiej przeszłości ryzykowali życiem, by ratować Żydów przed wszelkiej maści agresorem: jest to prosty fakt ponad wszelką wątpliwość, lecz o ile tysiącami chronili ich i ukrywali, kładąc nieraz na szali własne życie, o tyle w udręce swej własnej niejednorodności, mordowali ich i prześladowali z przerażającym okrucieństwem".

Obok publikacji tak wielowymiarowych ukazuje się na Zachodzie szereg dzieł mniejszego kalibru, ugruntowujących jednak powszechne przekonanie o „niezdrowym" socjologicznie i pozbawionym humanitaryzmu Polaku. Filmy typu „Shoah" wizję tę tylko wspierają. Jak niewiele dzieli już wtedy świat od szowinizmu, wrogości czy w najlepszym wypadku — zwykłej niechęci. O ile ułatwione zadanie mają wtedy sponsorzy mass-mediów w kreowaniu wizji współczesnej Polski w sposób najbardziej wygodny dla własnych celów. Jest to zjawisko bardzo bolesne i dla Polaków żyjących na Zachodzie, którzy z przejawami fałszywej wizji stosunków polsko-żydowskich spotykają się bezpośrednio. Opowiadał mi jeden z naszych rodaków zamieszkałych w Londynie, że zdenerwowany szczególnie napastliwą publikacją tego typu, a znający rzeczywistość okupacyjną z autopsji, napisał wyjaśnienie do pewnej gazety na Florydzie ze sprostowaniem zawartych w jej publikacji „faktów", ale odpowiedzi nie otrzymał. Do „Newsweeka" za to płyną szeroką rzeką chętnie drukowane listy domagające się napiętnowania polskiego antysemityzmu.

Zachowując wszystkie te fakty w pamięci, tym bardziej bądźmy świadomi, jak ciężko i opornie musi przebijać się na Zachód prawdziwy obraz naszych spraw, problemów i naszej zwykłej codzienności.

Wspomniana kwestia to ważny aspekt tej prawdy.

MŁODZI, WALECZNI, NIEZAPOMNIANI...

W TRAGICZNYM bilansie ofiar hitlerowskiej okupacji w Lublinie i na Lubelszczyźnie dane dotyczące martyrologii najmłodszej części społeczeństwa są znane, jak również okoliczności, które pociągnęły te bezcenne straty. Ślad o większości zaginionych przechowują dokumenty archiwalne odpowiednich placówek. Niemniej udział lubelskiej młodzieży w II wojnie światowej, jej walka i ofiara godne są szczególnego wyodrębnienia w rozdziale historii najnowszej.

Sławomir Litwiński, były więzień Zamku Lubelskiego, kombatant, długoletni sędzia Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, w ciągu 10 lat niełatwych i wytrwałych poszukiwań zgromadził zasób dokumentów i pamiątek, dających podstawę do opracowania około 150 biografii i będących punktem wyjścia do przygotowywanej monografii na temat poległej w latach 1939—1945 młodzieży Lublina. Pracy tej podjął się, wiedziony zarówno społecznikowską pasją, jak i „długiem pamięci" wobec losów kolegów szkolnych i współtowarzyszy wojennych lat.

Efekty tej wieloletniej pracy eksponowane już były na wystawach: pierwszej — w 1979 roku, a ostatnio — na zorganizowanej w listopadzie w domu kultury przy zespole szkół im. Vetterów. Zdjęcia, notki biograficzne, pamiętniki szkolne i harcerskie, listy i grypsy więzienne... Oto telegram: „Sohn Richard Miduch in Konzentrationslager Auschwitz verstroben der Kommandant". Rysiek zginął tam w wieku 23 lat. Józef Czerniak, lat 21, uczeń gimnazjum im. Vetterów; dyplom I miejsca w zawodach pływackich PW, zdjęcia Józefa jako więźnia i ofiary Oświęcimia. Grażyna Chrostowska, lat 18, uczennica gimnazjum Sobolewskiej, więźniarka Zamku Lubelskiego; zginęła w Ravensbrück wraz z siostrą... To tylko trzy przykłady.

Omawiana wystawa dokumentów udzieliła także „gościny" innej ekspozycji — związanej z podziemną działalnością lubelskich chorągwi harcerek i harcerzy, będących w stałym kontakcie z powstałymi w Warszawie konspiracyjnymi władzami ZHP, które na czas wojny przyjęły ogólną nazwę dla związku — Szarych Szeregów. Autorem tego unikalnego zbioru jest Kazimierz Jarzembowski, były członek Szarych Szeregów. W oparciu o pomoc Komendy Hufca ZHP Lublin — miasto podjął się on społecznego opracowania działalności okupacyjnej tajnych organizacji harcerek i harcerzy w Lublinie. Poszukiwanie dokumentów, śladów działalności, pamiątek itp. prowadzi pan Jarzembowski trzeci już rok, w ramach Harcerskiego Studium Historycznego Szarych Szeregów. Apeluje serdecznie o każdy ślad, każdą informację, wspomnienie, które pomoże zrekonstruować piękne i dramatyczne zarazem dzieje lubelskiego harcerstwa w czasie okupacji, z sylwetkami tak wybitnych harcerskich osobowości, jak Maria Walciszewska, Maria Świtalska, Danuta Magierska, Maria Daszkiewiczowa, Tadeusz Kozłowski, Kazimierz Tomiłło, Lesław Eustachiewicz, Henryk Ostrowski, Zbigniew Urych i wielu, wielu innych.

Wystawa martyrologii lubelskiej młodzieży, konspiracyjna działalność Szarych Szeregów w naszym mieście, także i regionie, znajdzie swą przyszłą, stałą siedzibę w Muzeum Martyrologii „Pod Zegarem", zaś prace historyczne nad tą problematyką już zostały podjęte.

(dey)

LISTY DO „KAMENY"

Minęło 155 lat od wybuchu Powstania Listopadowego.

Z małopolskiego miasteczka Kołaczyce, w pow. jasielskim, wyruszyło — jak podaje ustna tradycja rodowa — trzech braci Machowiczów: Jan, Aleksander i Augustyn. Wraz z Machowiczami udział w Powstaniu brali młodzi ochotnicy z tarnowskiego i jasielskiego. Jeden z Machowiczów, Jan, był dowódcą oddziału powstańczego i niejednokrotnie odznaczył się w walkach z wojskami carskimi. Nawet podręcznik historii Polski dla szkół średnich z okresu międzywojennego podaje informacje o walecznym dowódcy oddziału powstańczego w latach 1830—1831, Janie Machowiczu. Zapewne wojskowe źródła historyczne, obejmujące okres Powstania Listopadowego, mogą więcej powiedzieć zarówno o Janie Machowiczu, jak też i o jego braciach oraz innych powstańcach z Małopolski.

Powstanie upadło. Trzej bracia Machowicze wrócili cało do rodzinnych Kołaczyc. Jan pracował jako sędzia w kilku miastach Małopolski, m. in. w Tarnowie. Aleksander, jak zresztą wszyscy trzej bracia prześladowany przez administrację austriacką za udział w Powstaniu, uszedł na Węgry, gdzie kształcił się, a następnie był inżynierem górniczym. Do tzw. Galicji już nigdy nie powrócił. Augustyn, nie mogąc znaleźć pracy, wstąpił na teologię, a po wyświęceniu objął probostwo parafii w Olpinach w powiecie jasielskim, gdzie do dziś na miejscowym cmentarzu zachował się jego pomnik.

Godnymi uwagi są dalsze losy Jana Machowicza. Posiadając cechy przywódcy, był on wraz z Wiśniewskim oraz innymi organizatorem powstania w 1846 roku. Zostało ono udaremnione przez władze austriackie poprzez tzw. rzeź galicyjską. Jan Machowicz, ścigany stale przez żandarmerię austriacką, ukrywał się. Początkowo na terenie pow. tarnowskiego, a następnie jasielskiego, w Szerzynach, z fałszywymi dokumentami, pod nazwiskiem Wojciech Duran pracował jako parobek u kilku gospodarzy. Wszelkie sposoby zmylenia czujności żandarmerii austriackiej nie przyniosły jednak pozytywnych rezultatów. Rząd austriacki zaocznie skazał Jana Machowicza za udział w organizowaniu powstania na karę śmierci, jednocześnie wyznaczając tysiąc reńskich za pomoc w jego ujęciu.

Po pewnym czasie ukrywania się pod zmienionym nazwiskiem wydawało się J. Machowiczowi, że jako parobek zgubił za sobą ślad. Wydzierżawił więc folwark w Stępinie, koło Frysztaka. Niestety, tam właśnie dosięgła go mściwa ręka zaborcy. Jak głosi tradycja rodzinna, pewnego dnia został „zasztyletowany" przez „nieznanych sprawców". Do dziś na stępińskim cmentarzu można oglądać pomnik, wzniesiony ku jego czci przez przyjaciół-powstańców.

Niepodległościowy posiew powstańczych walk mieszkańców Kołaczyc nie skończył się na upadku Powstania Listopadowego i niedoszłego powstania 1846 r. Kołaczycanie brali udział w Wiośnie Ludów na Węgrzech w 1848 r., a następnie w Powstaniu Styczniowym. Warto te fakty przypomnieć.

Władysław Jedziniak
Kołaczyce

W numerze 11 przeczytałam Wasz apel do czytelników, co zachęciło mnie do napisania. Podniesienie ceny za Wasze czasopismo na pewno nie zniechęci stałych czytelników, jako że do wzrostu cen przywykliśmy już, a poza tym jak ktoś coś lubi, to nie zwraca uwagi na cenę.

Jestem od lat stałą czytelniczką „Kameny" i dlatego pozwolę sobie na pewne sugestie co do tematyki zamieszczanych artykułów. Z ogromnym zainteresowaniem czytałam zawsze artykuły traktujące o naszej historii, których mi ostatnio w „Kamenie" brak.

Jestem prezesem Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łęczyńskiej. W ostatnich dniach października odbył się III Zjazd Towarzystw Regionalnych w Kocku. W działalności wszystkich Towarzystw przewija się problem ratowania zabytków, jak też idea propagowania wiedzy historycznej o przeszłości miast i miasteczek, która to wiedza jest znana w b. małym stopniu. Towarzystwa w przeważającej większości nie dysponują możliwościami propagandowymi, takimi jak wydawanie własnych czasopism. Wydaje się, że dobrze byłoby, gdyby na łamach „Kameny" publikować nie tylko informacje o działalności Towarzystw z Lubelszczyzny, ale artykuły o mało znanych epizodach z historii miast i miasteczek, zgodnie z Glogerowską dewizą, że „obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje — obowiązek". [...]

Ewa Leśniewska
Łęczna

DWANAŚCIE TYSIĘCY LAT FEDROWANIA

WYSTARCZY dziś zaśpiewać tradycyjną, spontaniczną pieśń pt. „Do dupy z tym prezydium", a prezes wraz z prezydiantami już mają porutę i muszą ustąpić. Jest to chyba najprostszy i najskuteczniejszy ze znanych sposobów obalenia władzy, aczkolwiek pośród 10 wskazań dla młodych „lisów" znajduje się i takie: „Strzeż się źle zorganizowanego zamachu stanu, bo jeśli przegrasz zmagania z Wysokim Prezydium, kara, jaka cię spotka, może przejść do potomności", a w dodatku nie chodzi nawet o prezydium gminy Łęczna, lecz jedynie o prezydium „w sprawach piwnych nigdy nieomylne", dyrygujące „karczmą piwną" podczas „spotkań gwarków" z okazji Barbórki. A właściwie: Barbarki, czyli św. Barbary, która — obok łowców reniferów (tak!) — należy do tradycyjnych patronów górniczego stanu w Rzeczachpospolitych.

„Już na sam początek niespodzianka: górnictwo na ziemiach polskich starsze jest niż uprawa roli, niż hodowla. Gdyby nasi górnicy się uparli, mogliby obchodzić — śmiało — dwunastotysiąclecie swej specjalności. Pionierzy górnictwa z naszych terenów polowali na renifery, ponieważ klimat wówczas panował u nas jeszcze dość zimny: lodowiec zalegał północne ziemie Polski, owi zaś pionierzy mało przypominali wyglądem dzisiejszych mieszkańców naszego kraju. Ich potomkowie to Lapończycy, którzy odeszli za reniferami na północ... Na ewentualne uroczystości dwunastotysiąclecia wypadałoby ich może zaprosić? Ci pierwsi górnicy nie wydobywali, rzecz jasna, ani żelaza, ani miedzi czy ołowiu. Przede wszystkim — krzemień, byli przecież ludźmi epoki kamiennej. Ślady kopalni i pracowni obróbki krzemienia napotkali archeologowie w paśmie Gór Świętokrzyskich" — pisze Aleksander Bocheński w pasjonującej książce pt. „Przemysł polski w dawnych wiekach".

Tak więc praojców polskiego górnictwa trzeba dziś szukać aż w Laponii. Natomiast jego patronka, Barbara, wywodzi się z Azji Mniejszej, z miasta Nikodemia, gdzie w roku 306 za przyjęcie chrześcijaństwa została stracona przez własnego ojca, możnego Dioskura, okrutnika i poganina...

Górnictwo węgla kamiennego i brunatnego pojawiło się na Śląsku i w Rzeczypospolitej dopiero w II połowie XVIII wieku, ale gwarectwa, czyli spółki wolnych kopaczy, pracujące przy dobywaniu podziemnych kruszców, istniały w Polsce co najmniej od XIV wieku i wtedy też zaczął się upowszechniać w naszym folklorze kult św. Barbary jako patronki górników, flisaków i artylerzystów, a ponadto opiekunki... narzeczonych, strzegącej ich przed niebezpieczeństwami służby wojskowej.

Należy zostawić biegłym teologom problem, dlaczego akurat św. Barbara patronuje górnikom, flisakom, artylerzystom i narzeczonym-poborowym. W każdym razie górnictwo polskie wychodziło na tej opiece całkiem niezgorzej, stając się coraz lepszym interesem, „przez długie wieki — jak pisze Bocheński — uważane w Europie za polską specjalność". Toteż do gwarectw poczęli się garnąć kupcy, szlachcice, magnaci, a nawet królowie — oczywiście jako czyści udziałowcy, którzy czarną robotę spychali na wynajętych i opłacanych przez siebie ludzi. Równocześnie nadal istniały gwarectwa drobnych górników mieszkających w pobliżu kopalni — spółki rządzące się nieco bardziej demokratycznym obyczajem, choć także korzystające z pracy najemnej.

„W wewnętrznych między sobą stosunkach rządzili się gwarkowie uchwałami *(lauda cultorum)*, które ustanowione na ich zebraniach ogólnych i zapisane do ksiąg żupniczych, miały znaczenie prawa obowiązującego. Lauda te obejmowały liczne przepisy porządku, bezpieczeństwa, dobroczynności i pożytku ogólnego" — pisze Zygmunt Gloger w „Encyklopedii staropolskiej".

Gdzie mogły się odbywać ogólne spotkania gwarków? Przecież, że nie w kościele, a przeważnie w karczmie, będącej na ogół największą salą zgromadzeń świeckich w mieście czy osadzie górniczej. Zazwyczaj na takim uroczystym zebraniu, zwołanym pod koniec roku, bilansowano wyniki finansowe gwarectwa, po czym ewentualnie następowała wypłata zysków, i wreszcie część jakby mniej oficjalna, a bardziej rozrywkowa, czyli piwna, rozgrywana jednak nie na żywioł, lecz wedle określonego ceremoniału...

Co nam z tego zostało dziś? A na przykład „spotkania gwarków" (z dozoru), od czterech lat organizowane z okazji Barbórki przez koło Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa przy Przedsiębiorstwie Robót Górniczych w Łęcznej. Więc wpierw — stosownie do czasów, w jakich żyjemy — akademia, referat, odznaczenia. Następnie „karczma piwna", czyli — najogólniej biorąc — rytualne, wyłącznie męskie, a krotochwilne spotkanie górników przy piwie, piwie i tylko piwie (marki „Okocim") z zakąską (marki „ser żółty").

O czym tam się śpiewa poza ogólnotowarzyskimi „standardami", jak „Szła dzieweczka", „Gdybym miał gitarę", „Głęboka studzienka" i „Komu dzwonią"?

Trochę *pro domo sua:*

Zakład Robót Górniczych
Słynie dziś z wielu cnót.
Przez szereg lat jedruje,
Wykonał metrów w bród.

Niech żyje nasza wiara
Przez wiele długich lat.
Dziś nikt nam nie dorówna,
Choćby na dupie siadł!

Trochę o cudzych grzechach, jak w „Bardzo smutnej balladzie o sprzęcie":

WUPY warczą głośno przecie —
Chyba dobrze o tym wiecie.
Ryk ich byłby doskonały,
Gdyby jeszcze wiercić chciały.

Gdy macie dobrego WUPA,
To radości w przodku kupa.
Nie ciesz się za bardzo, chamie,
I tak ci się wiertło złamie!

I sporo wreszcie o tym, wokół czego podobno świat się kręci:

Helka mi się podoba,
Ożenię się z Helką.
Ona cała taka mała,
A dupę ma wielką!

Na koniec — ogólna bużka:

Stańmy bracia wraz,
Ilu jest tu nas.
Zróbmy przyjacielskie koło
I zanućmy pieśń wesołą,
Póki mamy czas, póki mamy czas.

Stańmy bracia wraz —
Już rozstania czas.
Karczmę piwną pożegnajmy
I wesoło zaśpiewajmy
Raz na pełny gaz, raz na pełny gaz.

Mocny uścisk rąk,
Przyjacielski krąg,
Pożegnania z łezką w oku:
Do spotkania w przyszłym roku,
Gdy nadejdzie czas, gdy nadejdzie czas!

(p)

Kajet literacki

Sztuka elitarna i amatorska

SZTUKA współczesna właściwie nie ma swojej twarzy. Niektórzy uważają ją za sztukę kryzysową. Po średniowieczu, renesansie, manieryźmie, baroku i tak dalej — mamy kryzys, który zastąpi nam wszystko. „Styl" ten cechuje drugorzędność, wtórność, bylejakość, skłonność do parodii, pastiszu, wręcz plagiatorstwo, a przy tym swoisty parnasizm. Jedyna wartość pozytywna ma polegać na ocaleniu wiary w sztukę. Minimalistom tyle zawsze wystarczy.

Już w siedemnastym stuleciu napuszeni przecież barokowi teoretycy uważali słusznie, że każde dzieło powinno być zrozumiałe dla przeciętnego, w miarę wykształconego człowieka. Tymczasem nowoczesna sztuka stała się elitarna, trudna, niezrozumiała. Ponieważ jednak sztuka nie powinna być elitarna, a musi być zrozumiała, nastąpiła rehabilitacja twórczości nieprofesjonalnej, amatorskiej, co doprowadziło do swoistej schizofrenii. Zgoda, twórczość amatorska bywa też sztuką, choć niską, najczęściej tandetną i szmirowatą.

Należy zdecydowanie odróżnić, co jest amatorską tandetą, a co autentyczną sztuką ludową. Tak zwana współczesna poezja ludowa więcej ma wspólnego ze skamandrytami niż z klasyczną poezją ludową. Najczęściej jest to po prostu zwykła grafomania. W całych tomikach trudno znaleźć choćby jedną prawdziwie poetycką strofę. A pamiętajmy o tym, że autentyczna poezja ludowa, ta z Kolberga, mówiąc w uproszczeniu, jest prawdziwą, cudowną poezją bez śladu grafomańskich zgrzytów.

Kompletnym absurdem estetycznym są modne na całym świecie, gigantyczne zespoły pieśni i tańca. Powiedzcie mi, na jakim chłopskim, czy nawet szlacheckim weselisku grzmiał stuosobowy chór i przygrywała monstrualna kapela godna barokowej opery? W dawnych czasach wioski były malusieńkie, toteż do samego tylko chóru trzeba by było spędzić jak na pańszczyznę wszystkich dorosłych ludzi z paru miejscowości. Może więc takie wielkie zespoły popisywały się na dworze królewskim? Na dworze królewskim popisywali się artyści światowej klasy, a ci nie chodzą stadami nawet w najbujniejszych epokach. W osiemnastym wieku inscenizowano chłopskie uroczystości na magnackich dworach. Zatem koncepcja olbrzymich zespołów pieśni i tańca wywodzi swój rodowód z sentymentalizmu. Tak właśnie rokokowe damulki rozumiały ludowość. Sam pomysł również więc nie jest oryginalny. Zdecydowanie bardziej podobają mi się małe kilkuosobowe kapele i autentyczny folklor.

Świątkarze uprawiają dziś swój proceder wszędzie, na wsi i w mieście, a pracują jakby przy taśmie w fabryce Forda. Nie brakuje wśród nich ludzi z wyższym wykształceniem. Dzieła ich najczęściej mają wygląd doprawdy żałosny. Takiej tandety nie produkowano nawet w epoce jaskiniowej. Wszystkie znane rzeźby, ryty naskalne i malowidła jaskiniowców należą do prawdziwej sztuki, nie ma tam tandety. Dzieła panów ludożerców są starannie przemyślane, na swój sposób znakomite, bezbłędne.

Janusz Olczak

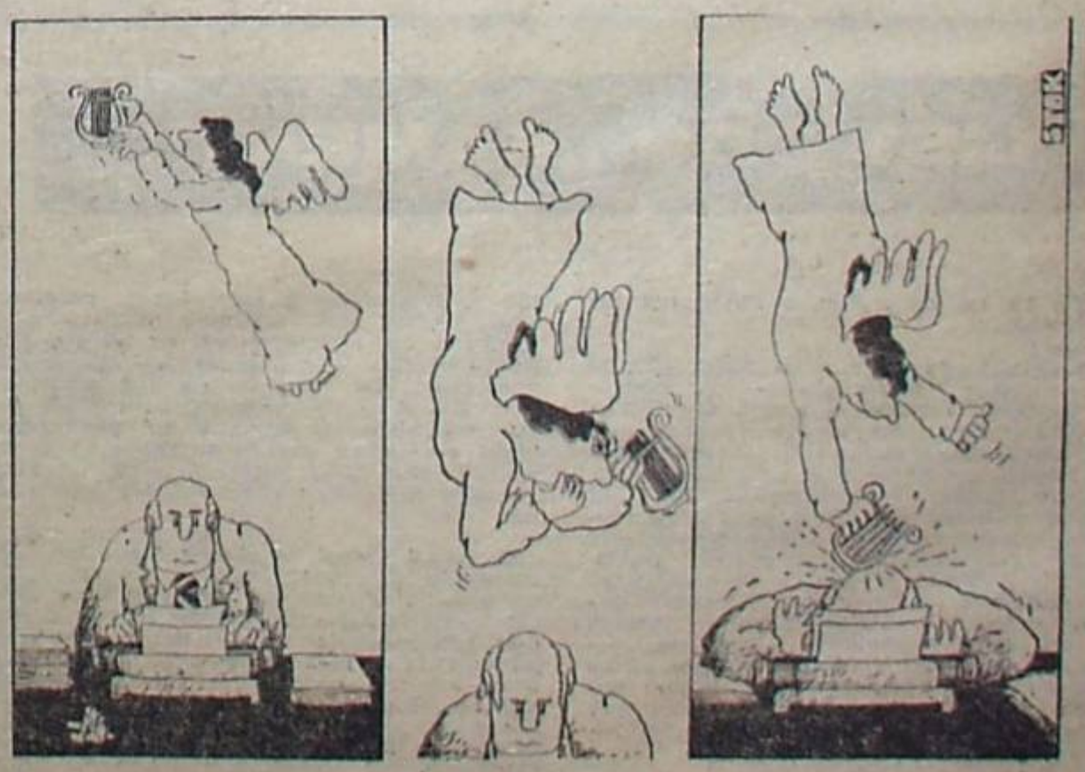

Rys. Andrzej Stok

Okolice sztuki

Znów o malarstwie

ZNÓW powracam do malarstwa, które jako rękodzieło o aspiracjach do estetycznego wyrażania intersubiektywnie sensownych refleksji autorskich, wyróżnia się w polu sztuki współczesnej. Jak do tego doszło, że obrazotwórstwo, skazane na śmierć przez protagonistów awangardy już na początku lat siedemdziesiątych, zajmuje dziś taką pozycję, podczas gdy jego przeciwnicy z konieczności bawią się w archeologów, samemu przypominając bardzo stare wykopaliska?

Źródła tej reorientacji były wielorakie, tkwiły w autonomicznym obszarze sztuki, w mechanizmach ekonomicznych, w stanie świadomości zbiorowej.

— W sztuce, bo wielką opcję na rzecz rękodzieła i względnie trwałych kryteriów wartościowania, zauważalną właśnie na początku minionej dekady, należy uznać za rezultat znużenia gonitwą awangardy, która popadłszy wtedy w swoisty sadomasochizm, próbowała „wyeliminować sztukę w sztuce" i zbudować w jej miejsce pole swobodnej gry przy użyciu wszystkiego, co wpadnie w oko, dłonie lub w głowę, a da się spożytkować w działaniach paranaukowych, ludycznych, egotycznych. Tymczasem wielu artystów spoza tego klanu, akurat zaopatrzonych w dyplomy wyższych szkół plastycznych, miało po prostu ochotę na wykorzystanie tych swoich umiejętności, które prowadziły do kreacji trwałych i osadzonych w dość stabilnej aksjologii. A tak się złożyło, że w pokoleniu tym z miejsca zarysowało się przynajmniej kilka nieprzeciętnych indywidualności twórczych, obdarzonych na dodatek — czy ja wiem, chyba charyzmą.

— W mechanizmach ekonomicznych, bo co by się rzekło o polityce gospodarczej lat siedemdziesiątych, faktem pozostaje, że wówczas zaczął kształtować się w Polsce prywatny rynek dzieł sztuki, a jednocześnie, dzięki otwarciu się kraju ku światu, pojawiły się szerokie możliwości wywozu i sprzedaży prac za granicą. Nie liczyły się tam przecież zapisy konceptualne i akcje, lecz rzeczy wymierne i trwałe: obrazy, grafiki i rysunki. Owszem, wprowadzenie sztuki do systemów handlowych zrodziło różne dewiacje, podłamało charaktery, zachęciło niejednego z artystów do kompromisów „pod publiczkę". No tak, ale wreszcie rękodzieło artystyczne, w końcu o niebo lepsze od „dekla", wprowadziło się do szerokiej wyobraźni, może nawet otwierając wreszcie drogę do powstania w Polsce wielkiej sztuki popularnej, nieobecnej dotąd — choć żyjemy w ustroju egalitarnym. Ta nieobecność — to fenomenalny paradoks naszej kultury, ciągle rozpiętej między twórczością elitarną a kiczem i nie znajdującej siły do wypełnienia obszarów pośrednich. No cóż, my zawsze skrajni, skazani albo na wielkość, albo na bruk.

— W świadomości zbiorowej, bo ludzie szukają lądów stałych, mają dość takich czy innych kontestacji, które wbrew obietnicom wcale nie zbliżyły nas do autentycznej i pozytywnej wizji świata. Wygląda się zatem sztuki, z którą można nawiązać dialog w języku zwyczajnym i znanym.

Sympatie do estetyki zwyczajnej ujawniają się od jakiegoś czasu również na Zachodzie, m.in. w Stanach Zjednoczonych, gdzie wyrażane jest przekonanie o trwałym powrocie pokaźnej grupy artystów do dobrego malarstwa sztalugowego o charakterze ekspresjonistycznym lub intymnym. Amerykańskie środowiska radykalne gromią wszakże ten proceder, wiążąc go z ideologią konserwatywnych, wręcz reakcyjnych sfer społeczeństwa, a jednocześnie podkreślając nieustającą potrzebę sztuki interdyscyplinarnej, zaangażowanej w sprawy polityczne, socjalne i moralne, w intencji negliżowania schorzeń i nadużyć systemu.

Czy wynika coś z tego dla nas? Niewiele, bo wyciąganie wniosków z sytuacji istniejącej w odrębnym świecie prowadzi do absurdu, jeśli chciałoby się spożytkować je na własnym gruncie. Nic przecież nie stoi na przeszkodzie, by nawiązując do wyłuszczonej wyżej opinii, postawić takie ogólne pytania: czy tzw. dobre malarstwo musi być wyrazem ideologii konserwatyzmu?, czy podobna sztuka tak samo funkcjonuje w odmiennych kontekstach społecznych?, czy rola artysty sprowadza się bez reszty do permanentnego kontestowania, czy też jest w niej miejsce na działalność integrującą?, czy kiedykolwiek istniała sztuka bez tandetnego marginesu?, czy należy uznać za sprawę błahą, że to nasze współczesne malarstwo niesie wreszcie z sobą tematy, treści i emocje polskie, w zakresie nieznanym nad Wisłą od bodaj 30 lat?

Tak pytam — po lekturze artykułu Urszuli Czartoryskiej „Afterimage", który opublikowała ostatnia „Fotografia" (1985 nr 2). Omawiając ów „Powidok" amerykańskich radykałów — niech im sił nie zabraknie! — zwalczających na własnym gruncie wspomniane malarstwo na rzecz sztuki interdyscyplinarnej i politycznej, autorka podkreśla, że rozległe kwestie obecności intelektualistów w materii życia społeczno - politycznego „także i u nas zasługują na najwyższą uwagę".

Zgoda, która jednak nie powinna wymazać z naszej pamięci faktu, że w Polsce lat 70-tych właśnie malarstwo, nierzadko „dobre i ekspresjonistyczne", zdało egzamin ludzkiej i politycznej odwagi. A nie sztuka „interdyscyplinarna" etc.

IJK

Poczta literacka

Lech M. Giżycko. Jest Pan niezwykle uparty. Czyż nie szkoda Panu czasu, kopert i znaczków? Zapewniałem Pana na tych łamach już dwukrotnie, że to pisanie w Pańskim wykonaniu nie ma żadnej przyszłości. Niech Pan oszczędzi siebie i liczne redakcje, a „Kamenę" przede wszystkim. Jest tyle innych pożytecznych zajęć, proszę się zastanowić.

Anna M. Lublin. Po roku i tylko dwa wiersze? W czym mają mnie zorientować te nieczytelne kartki? Styl nadal biblijny, jedynie tyle mogę zauważyć. Może to być nawet płodne, ale czy odpowiednie dla wszystkich tematów? Niech Pani nie traci kontaktu z naszą redakcją, bo jednak, jak to powiadają: „coś w tym jest".

Ireneusz S. Warszawa. Erotyki poprawne. Z braku miejsca jednak nie skorzystamy.

Joanna W. Zamość. Profesorka poradziła Pani dobrze. Powinienem jednak poznać większą porcję utworów, abym z pewną odpowiedzialnością mógł Pani radzić. Niektóre fragmenty wierszy wzbudziły moje zainteresowanie.

TJ

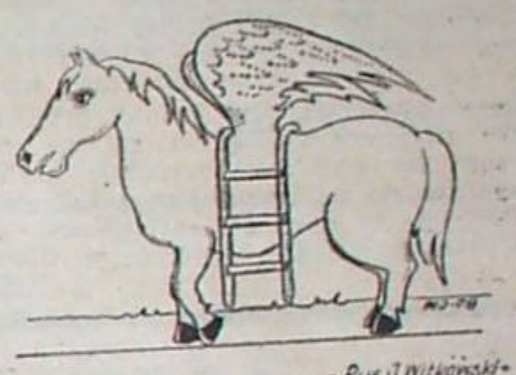

MUZYKA MŁODZIEŻOWA

Z dansingu na festiwale

Z NOWEJ Rudy do Warszawy wiedzie długa, częstokroć wyboista droga. Młoda pretendentka do tytułu gwiazdy estrady pokonała ją w dosyć szybkim i imponującym tempie. Zdecydowała o tym pracowitość. Z dansingu w rudzkiej restauracji „Słoneczna" trafiła na festiwalowe sceny. Jeszcze dwa lata temu, kiedy zdobywała dyplom Średniej Szkoły Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, nikt o niej nie słyszał. Dziś nazywają Edytę Geppert wschodzącą gwiazdą piosenki. Sukces przyszedł nadspodziewanie szybko. Przed dwoma laty nie chciano jej zakwalifikować na krakowski Festiwal Piosenki Studenckiej, uważając, że niewiele potrafi. Z takim zarzutem spotykała się później kilkakrotnie. Mimo to zwyciężyła w Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Laur zdobyty tam okazał się przepustką do kariery. Trzy miesiące później był festiwal opolski i nagroda Grand Prix za piosenkę „Jaka róża, taki cierń". Nie wszystkim przypadła ona do gustu. Ten i ów wybrzydzał na stroświecki gust wykonawczyni, na przesadny sentymentalizm i rzekomo naganne podobieństwo do Joanny Rawik.

Głosy kąśliwej krytyki nie załamały pracowitej debiutantki. Nieśmiała z natury, jakby nieco zagubiona w świecie rozrywki, postanowiła kosztem wielu wyrzeczeń zostać artystką estradową, a nie popularną piosenkarką, uzależnioną od mody i kaprysów publiczności. W tworzeniu estradowego emploi dopomógł jej Piotr Loretz, aktor warszawskiego Teatru Polskiego, na co dzień impresario wykonawczyni. To właśnie za jego radą Geppert zwróciła uwagę na kameralną piosenkę poetycką, pozornie zgaszoną, a przecież niosącą spory ładunek emocji.

Po utworze „Jaka róża, taki cierń" przyszła kolej na prezentację następnych piosenek: „Kocham cię życie", „Zamiast", „Przepraszam, że żyję", gorąco przyjmowanych przez słuchaczy. Na młodą i niezbyt jeszcze doświadczoną wykonawczynię zwrócił baczniejszą uwagę dyr. Krzysztof Materna ze Zjednoczenia Przedsiębiorstw Rozrywkowych, oferując mecenat artystyczny. Edyta Geppert znalazła się też w polu widzenia agencji PAGART. Pierwszy zagraniczny wyjazd na Międzynarodowy Festiwal Piosenki Maltańskiej okazał się nadzwyczaj udany. Nikt nie wiązał z tym wyjazdem nadziei, a jednak nasza reprezentantka wyśpiewała w La Valetta główną nagrodę nastrojową balladą „Poezja" z francuskim tekstem Jerzego Lisowskiego. To było w marcu, a już w maju urocza pani Edyta triumfowała w Bratysławie. W konkursie na interpretację Złota Lira przypadła wykonawczyni polskiej piosenki „Jaka róża, taki cierń". Radość polskiej ekipy była ogromna. Festiwalowe sukcesy powiększyła artystka w Opolu, gdzie uznano ją „Miss obiektywu".

Nagła kariera, objawiająca się przede wszystkim w środkach masowego przekazu, nie przewróciła Edycie w głowie. Nie przyjmuje ona wszystkich, sypiących się nagle niczym z rogu obfitości propozycji koncertowo-nagraniowych. Chce rzetelnie zapracować na repertuar odpowiadający jej naturze i predyspozycjom wokalnym, repertuar, po którym byłaby rozpoznawana. Zdaje sobie sprawę, że nie jest to łatwe przedsięwzięcie. Estradowy image prawdziwej artystki buduje się nieraz latami.

Młoda gwiazda nie ma jeszcze pełnospektaklowego, zadowalającego ją samą programu. Niejako z konieczności śpiewa kompilację piosenek dramatycznych i żartobliwych, które zdaniem krytyków nie leżą w jej charakterze. Może dlatego spotyka się jeszcze ze złośliwymi przytykami (vide felieton Ryszarda Marka Grońskiego „Gwiazda" w Polityce) o przemijającym powodzeniu gwiazdy jednego sezonu. Zapewne losy Edyty Geppert potoczą się nieco inaczej. Ma ona przecież znaczące atuty — duży, dobrze ustawiony głos o ciekawej barwie, muzykalność, wrażliwość na rytm i rzetelny warsztat wyniesiony ze szkoły. Może więc bez obawy śpiewać dalej nastrojowe ballady i pełne dramatyzmu poetyckie songi. Spodobają się na pewno.

Sztuka wokalna Edyty Geppert nie mieści się w tradycyjnym pojęciu piosenkarki nastawionej na szybki, komercyjny sukces. Nie śpiewa bowiem łatwych przebojów do tańca, nie kokietuje publiczności minami, ani szałowymi kreacjami. Skromna, cicha, ubrana w czarną suknię, skupia uwagę odbiorcy na przekazie muzycznym. Istotnym w nim jest głos artystki, dostosowany barwą do wykonywanego utworu, ale dojrzały i piękny. I choćby ze względu na niepospolity głos warto postawić na odkrytą dopiero wokalistkę. Jestem przekonany, że będzie ona godną kontynuatorką sztuki Ewy Demarczyk — bezsprzecznie największej indywidualności rodzimej sceny muzycznej.

Wcale nie dziwi mnie nieobecność piosenek pani Edyty na listach przebojów. Jej skromne dotychczas nagrania noszą cechy ponadczasowości. Gdyby tak jeszcze znalazły się na dużej płycie! Mam cichą nadzieję, że fonografia dostrzeże w krótkim czasie nowy głos i uraczy entuzjastów piosenki płytą, na jaką czekali od dawna. Podobne talenty trafiają się niesłychanie rzadko.

Istvan Grabowski

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 253-30.

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencję zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 2129/85. 1985-11-12. I-6.

POWIEŚĆ Z „HYDE PARKU"

Nasza Isaura

AUTOR: MARIAN JASKIER

11

„Ta Iza Trędowicz" zważniała — pomyślał Morżał. Żałował teraz, że ciągnął ją do barku. Schudł mu nieco portfel, a tego szczególnie nie lubił; Iza pozostała twarda i wspólna noc w hotelu oddalała się coraz bardziej. Forsę, którą stracił, postanowił sobie odbić jeszcze dziś w nocy pisząc krótki felieton na temat niekonsekwencji działań antyalkoholowych. Wprawdzie jego pióro do zbyt ciętych nie należało, ale przy ogólnym braku tej formy wypowiedzi nie miał specjalnych kłopotów z publikacją. No, nie był Janem Mataczem nie był nawet dziesiątą wodą po kisielu (przez małe „k"), ale na bezrybiu jakoś udawał karasia.

Morżał, jak słusznie zauważyła Iza, należał do niezbyt w mieście licznej grupy seksredaktorów. Grupa ta stale ulegała zmniejszeniu, bo pieluchy nie sprzyjały ekscesom, a domowe budżety w zastraszającym tempie zżerała inflacja. Żony gnały mężów do roboty, zarówno fizycznej jak i umysłowej, ale w tym drugim wypadku spoglądały na nich podejrzliwie, kiedy ci długo nie wracali do domów. Trudno im było ciągle zrozumieć, że aby jakiś tekst napisać, trzeba najpierw zebrać materiał, pogadać z ludźmi zarówno z tymi, co to na górze, jak i z tymi, co nieco niżej... Morżał jeszcze nie mógł narzekać. Ożenił się późno, podejrzewano, że będzie starym kawalerem, zdążył się wyszaleć ponad miarę i teraz mógł już prowadzić spokojniejszy tryb życia. Nie znaczy to wcale, aby od czasu do czasu nie trafiła mu się jakaś przygoda. Był jednak ostrożniejszy w doborze partnerek. Sparzył się na pewnej mężatce, która na pamiątkę wspólnie spędzonej nocy obdarzyła go najzwyklejszą z sekretnych chorób. Na szczęście w porę się zorientował, ale musiał sprowokować solidną kłótnię w domu, doprowadzić do „cichych dni" aby rzecz nie miała dalszych przykrych konsekwencji.

Przypomniał sobie teraz, jadąc do drukarni, tę historię, ale nie bez pewnego zdziwienia zorientował się, że nie zna imienia owej partnerki. Ba, nawet jej twarz jakoś się w jego wyobraźni zatarła...

VII.

Leon wrócił do pustego domu. Wkrótce wróciła też szwagierka, uśmiechając się złośliwie.

— Czego wykrzywiasz tak buziuchne? — zapytał. Był wściekły, że ona dostrzegła go na przystanku taksówek.

— Bo mi wesoło.

— Ty, Halina, nie wygłupiaj się i coś tam nie baknij Izie!

— Boisz się? Mam cię w łapie.

— Nie znasz swojej siostry? Z igły zrobi widły.

— Wiem, wiem, trzęsiesz portkami.

— Zwariowałaś? To była znajoma, dopiero co ją poznałem.

— I od razu pod raczkę? Druga młodość!

— Halina, ja ci dobrze radzę, trzymaj ze mną sztamę. A jeśli już chcesz tak dokładnie wiedzieć, to ci powiem: odprowadzałem do taksówki siostrę pani Marii, wiesz, ona jest żoną Pasika. Ta siostra mieszka w Warszawie. Nadziana kobita.

— A co mnie obchodzi z kim ty sobie łazisz? To tylko ty interesujesz się moją osobą. Nie zapomnę ci tej awantury, którą mi urządziłeś.

— No bo nie możesz tak późno wracać do domu. Ja muszę pracować. Ażeby dobrze pracować, trzeba dobrze wypoczywać. Boże, jak mi się pić chce. Daj mi jakiegoś mleka albo piwa.

— Skąd mam ci wziąć? Lodówka pusta. Nie wiesz, gdzie Iza?

— Ma jakąś konferencję.

— W „Unii"? Ona tylko tam wieczorami konferuje, kiedy jej dyrektor załatwia interesy z cudzoziemcami. Nie jesteś zazdrosny?

— Jeszcze czego! Wróci, wróci...

— I nie ubędzie jej, jeśli, oczywiście, nie przybędzie!

— Znów intrygujesz? Zobaczysz, że powiem Izie o co ja podejrzewasz. Znasz takie przysłowie: na złodzieju czapka gore?

Halina speszowiała. Na moment zapomniała o swojej niejasnej sytuacji na szczęście Leon nie zauważył jej zmieszania, bo mimo wszystko usiłował wygrzebać coś w lodówce. Znalazł lemoniadę w proszku. To już było coś.

— Halina, skocz do sąsiadów i przyprowadź dzieci. Iza miała się z nimi skontaktować.

— Z nimi, to znaczy z kim?

— Przeleć się po piętrach. Chyba daleko nie poszły.

— Miał dziad łokaja?

— Jesteś wredna małpa. Ludzie powinni sobie wzajemnie pomagać. Zwłaszcza w rodzinie.

— Tak? Tylko tę pomoc traktujesz bardzo jednostronnie. Kiedy wrócę nieco później, to się wściekasz.

— Dobrze już dobrze. Jakoś się dogadamy. Ale powiedz mi, masz kogoś? Głupio pytam. Masz z całą pewnością, bo to widać po tobie.

— Co widać? — zaniepokoiła się.

— W moim wieku ma się pewne doświadczenia. Rzut oka mi wystarczy, aby stwierdzić, że kobieta gziła się przed chwilą.

— Oglądasz tak własną żonę?

— Na razie jej nie podejrzewam, ale ty chyba pragniesz, by tak było. Mniejsza z tym. Więc co, puścisz farbę?

— Co mam puszczać...

— Sama się puszczasz!

— Leon, ty ze mną nie zadzieraj. Wypraszam sobie takie chamskie zagrywki.

— Ja ci dobrze życzę. Nie chciałbym, abyś się w coś wplątała. Nie masz jeszcze żadnych doświadczeń. Jakiś typ cię omota i całe życie będziesz żałować. A jak się w kimś zakochasz, a ten ktoś w tobie, to go trzymaj na dystans. Gdy zechcesz pójść do łóżka, to idź sobie z innym, takim, na którego nie zagięłaś parolu.

— Ładnie mnie uczysz!

— Powiem ci więcej. Ten do łóżka może być nawet żonaty. Będzie milczał jak grób, a z kawalerami to różnie bywa. Powie temu, tamtemu i o wszystkim wie całe miasto.

— Nieźle, nieźle! Słucham dalej!

— Więcej już nic nie powiem. Pamiętaj tylko, że szwagier ci dobrze życzy, a jak ci wtedy dałem opieprz, to zrobiłem tak tylko dla twego dobra!

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Młodemu aktorowi, który prosił Bernarda Shaw o list polecający do dyrektora jednego z teatrów londyńskich, Shaw napisał: „Niniejszym polecam panu młodego aktora X. Y. Gra on Hamleta, Cezara, Werthera, na flecie i w bilard, przy czym to ostatnie najlepiej".

• • •

Rudyard Kipling podarował kiedyś pewnemu studentowi jedną ze swych książek, wpisując następującą dedykację: „Johnowi Hawleyowi z najserdeczniejszymi życzeniami — Autor". Po pewnym czasie egzemplarz ten znalazł Kipling w księgarni, kupiony przez księgarza podobno za grube pieniądze. Autor nabył swoją książkę i przesłał ją ponownie studentowi z drugą dedykacją: „Książkę tę, wczoraj przypadkowo odnalezioną u antykwariusza, autor dedykuje Johnowi Hawleyowi z ponownym zapewnieniem najserdeczniejszych życzeń".

• • •

Giacomo Puccini przybył pewnego dnia do Mediolanu i wstąpił do „La Scali", gdzie właśnie wystawiano „Toscę". Ponieważ sam nie bił braw, sąsiadka zwróciła się do niego z zapytaniem:

— Czemu pan nie oklaskuje „Toscі", nie podoba się panu?

— Niezupełnie — odparł Puccini. — Są miejsca nie dość przejrzyste z punktu widzenia zasad kontrapunktu. Poza tym dosłuchać się można tu i ówdzie reminiscencji Verdiego, a i partie chóralne potraktowane są dość rozwlekle, powinny mieć więcej lekkości i żywsze tempo.

— Czy pan tak sądzi serio? — padło pytanie.

— Takie jest moje głębokie przekonanie — odparł Puccini.

Następnego dnia kompozytor ku swemu przerażeniu przeczytał tytuł w miejscowej gazecie: „Rozmowa z Puccinim o jego Tosce". W artykule powtórzono dosłownie opinię kompozytora o swym dziele. Interlokutorką okazała się recenzentka działu muzycznego dziennika.

Wyszperał: **Ryszard Dunin**

Krzyżówka nr 24 - szyfrogram literacki

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie. Pierwsze litery 15 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko pisarza oraz tytuł utworu, z którego pochodzi cytowany fragment. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami.

Wyrazy pomocnicze

1. kompozytor baletu „Pan Twardowski" — 16. 114. 121. 72. 46. 7. 35.
2. przykre położenie — 4. 15 50 42. 123. 8. 30.
3. tropikalna zasłona nad łóżkiem — 37. 61. 126. 27. 51. 65. 92. 22. 76. 150.
4. kwestionariusz — 6. 55. 10 63. 47. 113. 20.
5. cynadry jeszcze żywe — 32. 59. 115. 73. 89.
6. pomnikowy stop — 1. 125 111. 17.
7. najdłuższy równoleżnik — 41 73 24. 91. 110. 23.
8. żywopłotowa śliwka — 9. 3. 122. 137. 132. 49.
9. jazzowy kornet — 5. 107 139. 80. 141. 69.
10. szkodliwe przyzwyczajenie — 48. 26. 66. 40. 104.
11. trzy stopy — 18. 33 119 97.
12. autor „Karmazynowego poematu" — 36. 77. 57. 82. 105. 148.
13. przybrania — 14. 54. 21 108. 106. 2.
14. twarda, nie ulepszona nawierzchnia — 45. 70. 67. 140. 124. 86.
15. człowiek śniegu — 12 64 74 95.
16. wiejskie podwórze z zabudowaniami — 117. 142. 99 109. 136.
17. między napastnikiem i obrońcą — 25. 44. 68. 118. 101. 129. 145. 38.
18. stolica Kolumbii — 11. 79 43 28 84 143.
19. rzadkie zjawisko — 34. 85 144 81 128 93. 6?.
20. obraz malowany farbą wodną kryjącą — 60. 29. 134. 53. 71.
21. napój z chmielem — 19 130 94 87.
22. pierwsza kobieta — 131 88 83.
23. koń pisarza — 135. 90 78 96 102.
24. żona Napoleona III — 103 52 13 116 133 56. 127.
25. mała kupka włosów na głowie — 112 100. 149. 58. 120. 146.
26. metal szlachetny — 138 31. 147. 39 98

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

1	2	3	4	■	5	6	7	■	8	9	10	11	12	■	13
14	■	15	16	17	18	19	20	21	22	23	■	24	25	26	27
28	29	30	31	■	32	33	■	34	35	36	37	■	38	39	40
41	42	43	44	■	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	■
55	56	57	58	59	60	61	■	62	63	64	■	65	66	67	68
69	70	71	72	■	73	74	75	76	77	78	79	■	80	81	82
83	84	85	86	87	88	89	90	■	91	92	93	■	94	95	96
97	98	99	100	■	101	102	103	104	105	■	106	107	108	109	110
111	■	112	113	114	115	116	117	118	■	119	120	121	122	123	124
125	■	126	127	128	■	129	130	131	■	132	133	134	■	135	136
137	138	139	140	141	142	■	143	144	145	■	146	147	148	149	150

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 22 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

Podskakując jak na sprężynie, unosząc wysoko zad, wbiegła z ogrodu szara małpka. ... W łapie wlokła otwartą torebkę jednej z pań, siejąc po drodze chusteczkę, szminkę w złotej pochewce, pęk dzwoniących kluczy.

Wojciech Żukrowski
KAMIENNE TABLICE

Nagrodę otrzymuje Anna Kowalczyk, ul. Paganiniego 4 m. 145, 20-854 Lublin.